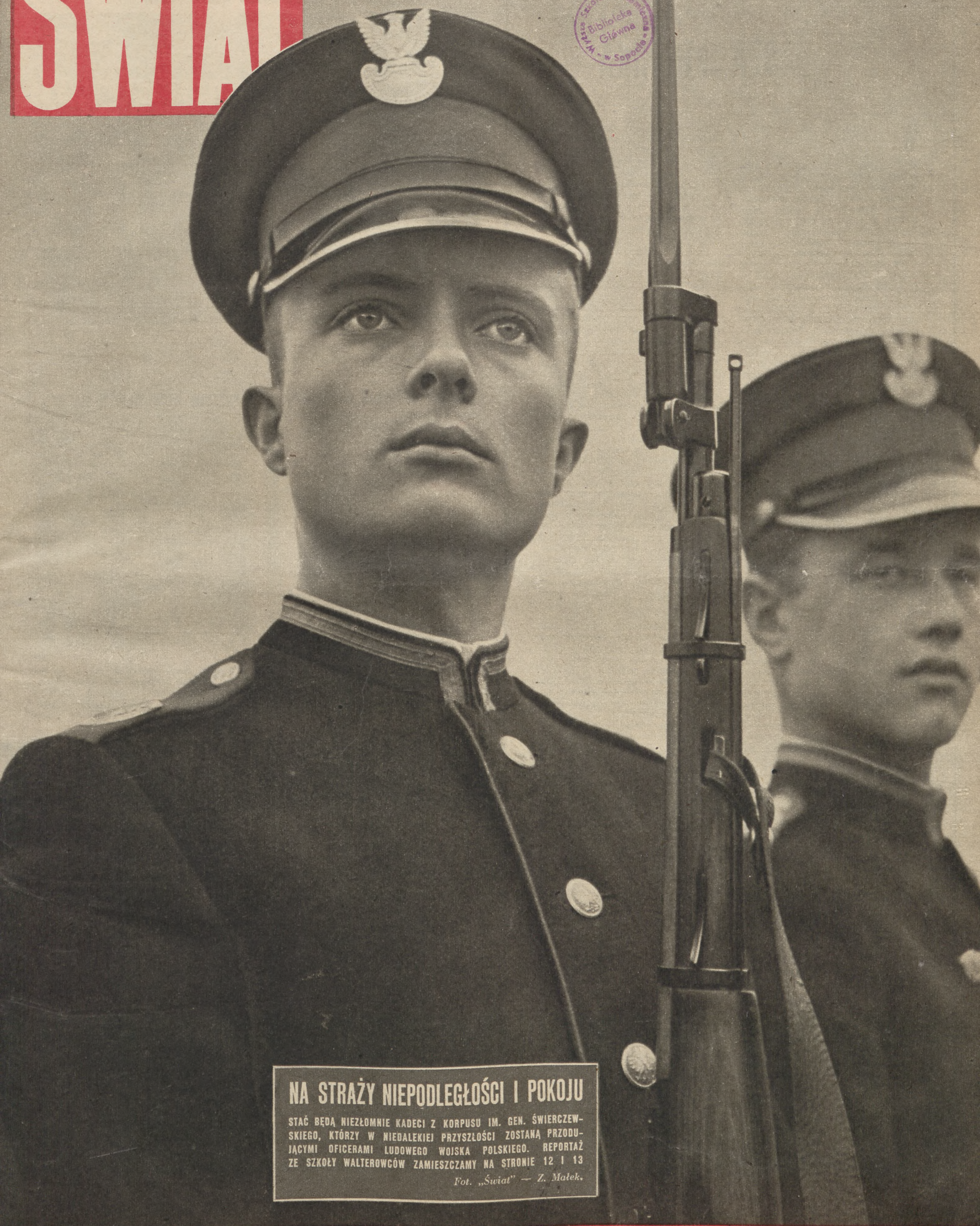




NA STRAŻY NIEPODLEGŁOŚCI I POKOJU

STĄC BĘDĄ NIEZŁOMNIE KADECI Z KORPUSU IM. GEN. ŚWIERCZEW-
SKIEGO, KTÓRZY W NIEDALEKIEJ PRZYSZŁOŚCI ZOSTANĄ PRZODU-
JĄCYMI OFICERAMI LUDOWEGO WOJSKA POLSKIEGO. REPORTAŻ
ZE SZKOŁY WALTERÓWCÓW ZAMIESZCZAMY NA STRONIE 12 I 13

Fot. „Świat” — Z. Matek.

NASZA KRONIKA

W STAROPOLSKIM Gnieźnie odbyła się piękna uroczystość ku czci prymasa Polski i jej kanclerza, światłego, postępowego męża stanu — księdza Jana Łaskiego. Postać ta słusznie pamięci naszej przypomniana, dowodzi, iż epoka Odrodzenia w naszym kraju oznaczała nie tylko rozwój nauki i sztuki, ale również i myśli politycznej, myśli głęboko patriotycznej.

Ta patriotyczna myśl owego czasu kształtowała się wraz ze świadomością o konieczności oderwania polityki polskiej od polityki watykańskiej, o konieczności jej usamodzielnienia, o konieczności kierowania się dobrem kraju, a nie dążeniami papieża. On to, Łaski, na soborze laterańskim w roku 1513 miał w obecności papieża Leona X mowę, poświęconą obronie praw Polski do Prus. Dążenie do prowadzenia samodzielnej polityki polskiej sprowadziło na głowę Łaskiego kłótnię Klemensa VIII i wezwanie do stawienia się przed sądem papieskim.

Na dworze tego prymasa wyrósł nie kto inny jak Andrzej Frycz Modrzewski. Jan Łaski była to jedna z najświetniejszych postaci Europy owego czasu, pozostająca w stosunkach z najbardziej światłymi ludźmi epoki, jak na przykład z Erazmem z Rotterdamu. Wielkim dziełem Łaskiego była kodyfikacja praw rzeczypospolitej szlacheckiej i opublikowanie słynnego kodeksu, nazywanego jego imieniem. W kodeksie tym prymas Łaski przeprowadza nową myśl prawniczą, nową i postępową, głoszącą, iż król i szlachta są wspólnie źródłem prawa, ale jednocześnie — że prawu temu podlegają. On to pierwszy w Polsce postawił zasadę, iż nikt, nawet król, nie może stać poza prawem czy też ponad nim. Było to odbicie i zastosowanie w Polsce poglądów panujących w ówczesnym świecie, których wyrazem było i w Kościele ogłoszenie zwierzchnictwa soboru nad papieżem.

Prymas Łaski kodyfikował prawa feodalizmu polskiego, prawa narodu szlacheckiego. Niemniej zasada panowania prawa ponad wolą jednostek, zasada „nikt ponad prawo” miała się rozwijać, miała ożywiać niejedną przemianę, miała być dziełem niejednej rewolucji. W innym układzie sił klasowych, w innej epoce historycznej my w Polsce Ludowej, w której źródłem prawa jest suwerenny naród, również przestrzegamy zasady prymasa Łaskiego: prawo jednak wszystkich obowiązuje.

ZASADA prawna Łaskiego zgodna jest z dążeniem człowieka do sprawiedliwości, z dążeniem, które łamała i pacyła sprawiedliwość szlachecka, magnacka czy burżuazyjna. Można powiedzieć, iż w pewnym sensie walka o realizację zasady, którą do polskiego prawa usiłował choć teoretycznie wprowadzić prymas Łaski, jest drogą postępu i wyzwolenia ludu. Według tej zasady wymierzanie należy każdą sprawiedliwość, zarówno sądową, jak i historyczną. Polska Ludowa wymierzyła sprawiedliwość prymasowi Łaskiemu, stawiając go w rzędzie godnych uznania i naśladowania wielkich ludzi narodowej polskości. Historia zna również i takich

prymasów, którzy hańbili naród. Jednym z bliskich następców Łaskiego na stolicy prymasowskiej był nie kto inny jak Piotr Gamrat, powolne narzędzie w ręku królowej Bony, uczestnik różnorodnych zagranicznych intryg przeciw Polsce skierowanych, moralnie upadła postać. Jego nazwisko stało się imieniem pospolitym, nadawanym rozpustnikom i rozpustnicom.

Byli i jeszcze gorsi, jak chociażby ostatni prymas doby szlacheckiej, Michał Poniatowski, brat króla, wróg konstytucji 3-go maja. On to w Warszawie odprawił nabożeństwo żałobne za Ludwika XVI, on to wydawał duchowieństwu okólniki polecające odprawianie nabożeństw za Marię Antonie, Pozostawał prymas Poniatowski na usługach carcy, Targowicy i Prus, na usługach wszystkich wrogów niepodległości Polski. Ksiądz Kitowicz w swych słynnych pamiętnikach tak opisuje rolę księdza — prymasa w czasie powstania 1794 roku:

„Prymas, obawiając się co chwila nowego wzburzenia... napisał list do królewicza pruskiego, w obozie pod Warszawą będącego, aby ocalił Poniatowskiego wraz z jego rodziną, wskazując przy tym sposoby, gdzie ma na Warszawę uderzyć i jakim sposobem najłatwiej zdobyć, i wysłał z tym listem wiernego posłańca, który się podjął przynieść to pismo do obozu pruskiego. Ale się ten zamiar nie udał; właśnie gdy się przez linię przekradał, spostrzeżony od gęstych placówek polskich przy Powązkach, do wodza odprowadzony został. Wzięty na indagację, wyznał dobrowolnie, że Prymas Michał Poniatowski wręczył mu osobiście list u niego znaleziony. Gruchła ta wieść natychmiast po całym obozie polskim, a jeszcze bardziej po Warszawie. Oburzony lud zaczął się tłumnie zbierać po ulicach, odgrażając się na Prymasa za tę zdradę...”

Lud warszawski owego czasu wydał sprawiedliwy wyrok na prymasa — zdrajcę, który zajmował się rychtowaniem pruskich armat na stolicę.

Od owego czasu nieraz pruskie armaty waliły w to miasto, a wojska nowych Prus, wojska niemieckiego odwetu, przemocy i gwałtu niszczyły naszą ziemię, nasze miasta i wsie. O co walczyliśmy? Jak prowadziliśmy naszą politykę? Tak, by nigdy już więcej pruskie armaty nie zagroziły ani Warszawie, ani żadnemu miastu, żadnej wsi, żadnemu człowiekowi w Polsce. Dlatego musimy prowadzić czujnie naszą politykę. Musimy być tak czujni, jak ów warszawski czeladnik i terminatorzy, czuwający na wałach w 1794, którzy w porę przychwylić potrafili wysłannika księdza — prymasa.

W hutach Westfalii, w fabrykach Kruppa już zaczynają odlewać armaty. Jak uczynić, by nie mogły one nieść nigdy śmierci i zniszczenia naszej Ojczyźnie? Walczyć wytrwale z siłami popierającymi Adenauera i jego generałów, bankierów i fabrykantów armat. Za Adenauerem stoi imperializm i Watykan. Nie pozwoli Polska Ludowa, by ktokolwiek utrzymywał polityczne przyjaźnię z poplecznikami Adenauera. Prymas Łaski nas nauczył, że nie może być w państwie ludzi stojących ponad prawem.

JAN SZELAĞ

„M-20” BĘDZIE MIAŁA WŁASNY SILNIK



Powinszować — mówią do siebie robotnicy, majstrowie, inżynierowie, którzy w fabryce na Żeraniu wyprodukowali pierwszy silnik do samochodów typu „Warszawa”

CZCIMO TRADYCJE ODRODZENIA



CAF

W Wolborzu odsłonięto niedawno obelisk poświęcony Fryczowi Modrzewskiemu, autorowi pomnikowego dzieła „O naprawie Rzeczypospolitej”.

PRZECIW REPRESJOM W MAROKU



CAF

„Francja musi wycofać się z Maroka” głosiły napisy na transparentach, które nieśli uczestnicy niedawnej manifestacji przed siedzibą ONZ.

DLA DOBRA

Od samego początku sprawa jest jasna, choć nie szczędzono wysiłków, by ją zaciemnić. Wolność religii i wolność sumienia to podstawowe prawo obywatelskie w Polsce. Tak głosi Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, taka jest praktyka władzy ludowej. Kościół cieszy się nieograniczoną swobodą odprawiania obrzędów religijnych i nauczania zasad wiary. Wierni zaś mogą swobodnie w tych obrzędach uczestniczyć. Ich uczucia religijne są chronione przez specjalną ustawę o wolności sumienia i religii. Z ducha tej zasady poszanowania wolności religijnej wyrasta porozumienie między rządem a episkopatem w kwietniu 1950 roku. Miało ono na celu uregulowanie wzajemnych stosunków między kościołem a państwem w sposób zabezpieczający interes zarówno państwa, jak i kościoła katolickiego w Polsce. I gdyby czyniki kierownicze episkopatu polskiego lojalnie tę umowę wykonywały — nie doszłoby nigdy do zjawisk tak gorszących, jak udział niektórych przedstawicieli kleru w zbrodniczej akcji bandyckiego podziemia albo we wrożej Polsce akcji szpiegowsko-dywersyjnej.

Jednakże wolność religii i sumienia w Polsce od dawna była solą w oku pewnych czynników międzynarodowych, które usilnie dążyły do wyzyskania kościoła, jako narzędzia intryg politycznych. I z tej właśnie strony podejmowane były usiłowania, by jątrzyć stosunki między kościołem a państwem w Polsce Ludowej, by wywołać rozdział między wierzącymi a niewierzącymi i rozbić jedność narodu polskiego. Atmosfera „wojny religijnej” najbardziej odpowiadała politycznym celom owych czynników, wrogich Polsce. O jakie to czynniki chodzi, wiemy, choćby z przebiegu rozprawy przeciwko biskupowi Kaczmarekowi. Nie tają one zresztą swych celów i zamiarów. Oto b. ambasador amerykański w Polsce, Stanton Griffis, w oślawionej książce pt. „Lying in State” otwarcie stwierdzał, że kościół katolicki w Polsce jest „w jego mniemaniu” ostatnią linią oporu przeciwko władzy ludowej. Organ Watykanu, „Osservatore Romano”, niejednokrotnie podkreślał, iż jego zdaniem kościół stanowi skuteczny czynnik organizowania działalności politycznej prze-

PAUL ROBESON LAUREATEM
NAGRODY STALINOWSKIEJ



Dobrze znany w Polsce pieśniarz amerykański, Paul Robeson, otrzymał Międzynarodową Nagrodę Stalinowską za wybitną działalność w obronie pokoju.

NIEMCY POKOJU



CZTERY lata temu, 7 października 1949 roku, Niemiecka Rada Ludowa poleciła Ottonowi Grotewohlowi utworzenie Tymczasowego Rządu Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Rządowi temu przekazała władzę Radziecka Administracja Wojskowa. Nastąpiła proklamacja pierwszego w dziejach demokratycznego i pokojowego państwa niemieckiego, które przejęło w swe ręce odpowiedzialność za zjednoczenie i demokratyzację całych Niemiec.

W rok później, 15 października 1950 roku, odbyły się w Niemieckiej Republice Demokratycznej wybory powszechne do Izby Ludowej, do izb prowincjonalnych i powiatowych oraz do przedstawicielstw gminnych. Olbrzymia większość wyborców głosowała za polityką rządu, za programem Frontu Narodowego.

Od proklamacji minęły cztery lata, od wyborów — trzy. Lata te wykazały, że Niemiecka Republika Demokratyczna konsekwentnie realizowała swe założenia, konsolidując w rękach ludu władzę wyrwaną junkrom i magnatom stali, podcinając korzenie zaborczych tradycji imperializmu niemieckiego, podejmując w najszerszym zakresie wielkie zadanie przebudowy psychiki niemieckiej, w której — na skutek konkretnych warunków historycznych — przez wieki całe niewolnicza uległość wobec własnych ty-

ranów łączyła się z dążeniem do przemocy nad innymi narodami.

Istnienie NRD, owej mocy napędowej w przeciwdziałaniu polityce okupantów anglosaskich przez pokojowe i postępowe siły w narodzie niemieckim — stało się jednak solą w oku tych, dla których podział Niemiec jest koniecznym i nader wygodnym czynnikiem w planach podboju świata. Imperializm amerykański organizuje w Niemczech zachodnich swą bazę strategiczną i zbrojeniową, rehabilituje hitlerowców i hitlerizm, usiłuje mobilizować pod hasłami rewizjonistycznymi i odwetowymi najbardziej wsteczne tendencje świadomości niemieckiej, organizuje haniebne prowokacje przeciw NRD. Prowokacja z 17 czerwca w NRD i wybory z 6 września w Trizonii dowodzą, że imperializm amerykański postawił na najbardziej reakcyjne siły w narodzie niemieckim, na te, które po raz trzeci w ciągu naszego stulecia dążą do rozpętania pożogi wojennej.

Tym większego znaczenia nabiera w tych warunkach Niemiecka Republika Demokratyczna. Z tym większą nadzieją, z tym głębszym zaufaniem zwraca się ku niej wzrok obrońców pokoju, orędowników przyjaźni między narodami, bojowników o lepszy, sprawiedliwszy świat. Niemiecka Republika Demokratyczna to fundament demokratycznych, pokojowych Niemiec, takich, które bro-

niąc swych słusznych, narodowych interesów, walcząc o swą narodową egzystencję — wyzwolą się spod przemocy imperializmu amerykańskiego i z udziału w jego agresywnych zamierzeniach. Im bliższa zwycięstwa będzie walka narodu niemieckiego o jedność i suwerenność jego ojczyzny — tym bliższa zwycięstwa będzie walka narodów o pokój.

Dlatego ku Niemieckiej Republice Demokratycznej, stanowiącej najpotężniejszą broń w walce o zjednoczone, demokratyczne i pokojowe Niemcy — płyną w czwartą rocznicę jej powstania gorące życzenia narodów.

Gorące, serdeczne życzenia śle swemu sąsiadowi naród polski. Cztery lata minęły od chwili, gdy Wilhelm Pieck i Otto Grotewohl w programowych deklaracjach Rządu NRD stwierdzili, że Odra i Nysa są granicami pokoju między Niemcami a Polską i że Niemiecka Republika Demokratyczna nie dopuści nigdy, by ziściły się dążenia imperialistów do przekształcenia tej granicy w zarzewie nowej wojny. Także i w tej dziedzinie ubiegłe cztery lata dowiodły, iż NRD jest wierna swym programowym deklaracjom. Pierwsze w historii demokratyczne i pokojowe państwo niemieckie jest pierwszym w historii państwem niemieckim, szczerze przyjaznym Polsce.

Tym goręcej życzymy Niemieckiej Republice Demokratycznej zwycięstwa w walce o sprawę słuszną i wspólną.

RZECZYPOSPOLITEJ

ciwko demokracji ludowej. Innymi słowy, ośrodki polityczne imperializmu usiłowały wyzyskać kościół do celów walki politycznej przeciwko ustrojowi demokratycznemu w Polsce i przeciwko władzy ludowej. Pamiętamy, jaką furję wywołała w Waszyngtonie i Watykanie wieść o rokowaniach między rządem a episkopatem w kwietniu 1950 roku. Kiedy zaś porozumienie to doszło do skutku i zostało podpisane — ośrodki wrogie Polsce rozpoczęły działalność, zmierzającą do storpedowania umowy i starały się nakłonić episkopat do łamania ducha i litery umowy.

Niestety, w łonie episkopatu znaleźli się ludzie, którzy dali posłuch tym głosom i stanęli w poprzek realizowaniu umowy. Odpowiedzialność za to spada przede wszystkim na ówczesnego kierownika episkopatu, ks. arcybiskupa Wyszyńskiego. On to był główną sprężyną działań zmierzających do sabotowania porozumienia, do zaostrzania wzajemnych stosunków między kościołem a państwem, on to nie wahał się nadużywać wolności religijnej do prowadzenia działalności politycznej, skier-

owanej przeciwko państwu ludowemu i narodowi polskiemu. Działalność ta stała się szczególnie szkodliwa w okresie, gdy episkopat zachodnio-niemiecki i spory odłam tamtejszego episkopatu spotęgował działalność rewizjonistyczną, skierowaną przeciwko naszej granicy zachodniej.

Było rzeczą oczywistą, iż w interesie kościoła i państwa leży jak najszybsze położenie kresu temu stanowi rzeczy i znormalizowanie stosunków między kościołem a państwem. Kierując się tym motywem, rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej powziął uchwałę zakazującą ks. arcybiskupowi Wyszyńskiemu dalszego wykonywania funkcji związanych z jego dotychczasowymi stanowiskami kościelnymi.

Decyzja rządu spotkała się ze zrozumieniem wśród episkopatu polskiego. Wyrazem tego były uchwały episkopatu z dnia 28 września rb. Deklaracja biskupów polskich stwierdza, iż:

„Episkopat polski w trosce o dobro Kościoła i narodu, a zarazem w interesie jedności i zwartości naszego narodu zdecydowany jest starać się, aby nie do-

puścić na przyszłość do wypaczania intencji i treści Porozumienia z kwietnia 1950 roku i stworzyć sprzyjające warunki dla normalizacji stosunków między Państwem i Kościołem”.

I dalej:

„Episkopat uważa wraz z Rządem za słuszne stworzenie takich warunków, które w interesie Państwa i Kościoła usuwają przeszkody stojące na drodze pełnej realizacji Porozumienia, na drodze umacniania jedności i zwartości narodu”.

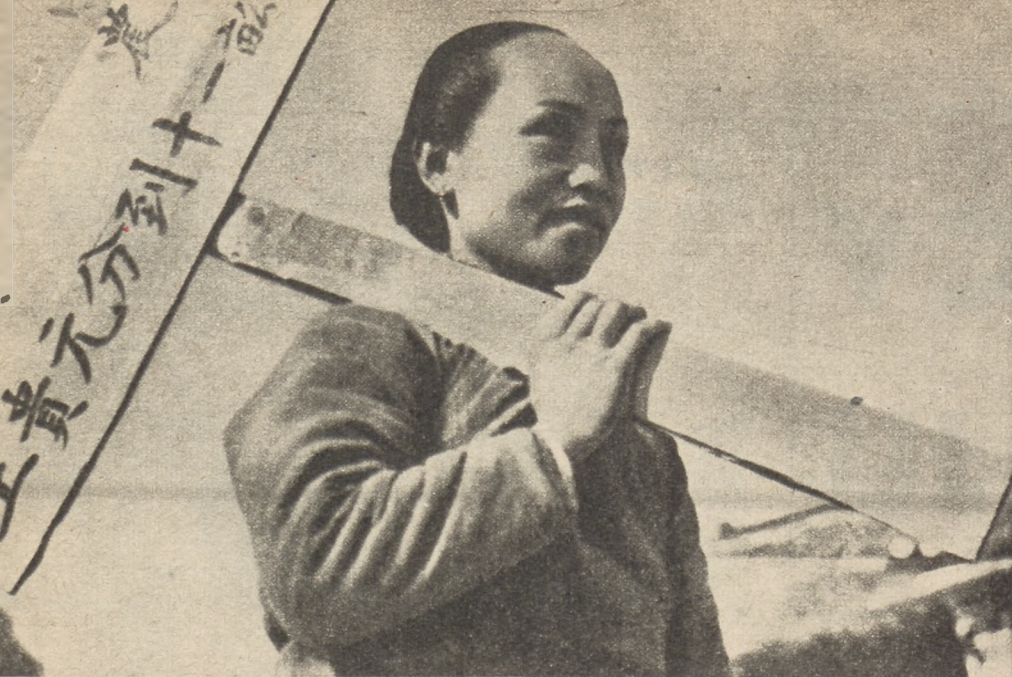
Przyjmując tę deklarację do wiadomości wiceprezes Rady Ministrów, Józef Cyrankiewicz, stwierdził ze swej strony:

„Jest troską Rządu, aby zagwarantowane przez Konstytucję prawa i obowiązki obywateli w zakresie swobód religijnych i wolności sumienia były w pełni przestrzegane przez wszystkie instytucje i wszystkich obywateli. Władze państwowe stoją na gruncie zasad Porozumienia z dnia 14 kwietnia 1950 r. i uwzględniając deklarację Episkopatu z dnia 28 września 1953 r. będą życzliwie ustosunkowywać się do postulatów hie-

rarchii kościelnej, sądząc, że wniesie ona realny wkład do umacniania jedności i zwartości społeczeństwa”.

Na rusztowaniach tysięcy budowli Planu Sześcioletniego stoją obok siebie wierzący i niewierzący, partyjni i bezpartyjni Polacy, wspólnym wysiłkiem i wspólnym trudem tworzący dobrobyt i wielkość swej Ojczyzny. To właśnie jest najistotniejsza treść naszego Frontu Narodowego. Chciano między tych ludzi wbić klin, chciano ich między sobą skłócić. Nie trudno odgadnąć w czyim interesie. Przecież zza Łaby dobiegają coraz silniejsze odgłosy antypolskiej hecy, organizowanej przez neohitlerowców, nawołujących do odwetu, sięgających po nasze ziemie zachodnie. Podważać jedność narodu polskiego w takiej chwili, to podkopywać fundamenty jego niepodległości, bezpieczeństwa i pokoju. Dlatego właśnie trzeba było położyć kres działalności godzącej w tę jedność. Dlatego decyzja rządu polskiego i uchwała episkopatu z dn. 28 września rb. wypływają z najgłębiej pojętej polskiej racji stanu.

S. W.



Wang Kuei-yuan niesie do domu tablicę, na której napis głosi, że ta biedna, wyzyskiwana dotąd chłopka otrzymała z reformy jednaście mu (dwa akry) ziemi.

BALLADA RYŻOWA

MARIAN BIELICKI



Chłopi i żołnierze podczas zbierania ryżu w miejscowości Sung-Bing-Heng.

PODANIE głosi: około 4800 lat temu dobry i mądry cesarz Czin Hong wstępując na tron przyniósł ludowi chińskiemu najpiękniejszy dar — ziarno sytości. Rokrocznie, w obecności całego dworu, otoczony swą odzianą w złoto i purpurę, podziwiany przez tłumy klęczących poddanych, dobry cesarz Czin Hong wychodził na pole przed swym pałacem, by wśród śpiewu kapłanów i radosnych okrzyków ludu zasieć pierwsze ziarno ryżu. I nikomu nie wolno było zacząć siewu, zanim cesarz nie rzucił w ziemię pierwszego ziarna.

Czy tak było, jak głosi podanie, czy inaczej — jedno w tym jest prawdziwe: od prawie 5000 lat lud chiński uprawia ryż. Od niemal 5000 lat ziemię chińską przecinają tysiące li kanałów, którymi wędrują ku ryżowym polom życiodajna woda.

Czy tak było, jak głosi podanie, czy inaczej — ale żadna inna legenda nie opowiada później ani o cesarzach, ani o możliwych siewach ryżu. Oni ten ryż jedli — siał go, uprawiał i zbierał, by im oddać, chłop chiński.

Od niepamiętnych lat tkwił po kolana w grząskim lessowym błocie, schylał się nad zielonymi kielkami, z niepokojem

ogładał kanały — czy dość w nich wody, z trwogą patrzył na niebo — czy słońce dostatecznie ogrzeje delikatną roślinkę.

W końcu marca zaczyna się siew. W jednym z rogów zalanego wodą półka chłop chiński sieje ziarno. Kiedy na powierzchni tafla wodnej ukazują się pierwsze liście, trzeba dodać wody, ale woda nie może być zbyt zimna, dlatego trzeba ją przedtem napompować do innego zbiornika, by ogrzała się w słońcu. Gdy źdźbła osiągną długość 15—20 centymetrów, rozsadza się je po całym polu — równieśnikami rzędami. Teraz wodę się spuszcza, by słońce przygrzało czubki, potem znów napompowuje i tak w kółko. Wreszcie po miesiącach żmudnej pracy — ryż wyrasta do wysokości półtora metra. Zaczyna się okres żniw.

Tak chłop chiński uprawiał ryż od najdawniejszych czasów, tak uprawiał go przed kilkuset laty, tak — w ogromnej większości — uprawia go i dziś. Ale coraz częściej siew wygląda inaczej, stosuje się nowoczesne metody, eliminujące siew wstępny i rozsadzanie. Coraz częściej zamiast starych, drewnianych pomp bez jednego gwoździa, kreca się nad granicą chłopskiego pola błyszczące metalowe koła zakończone czerpakami.

Zmieniło się życie chłopca — zmieniają się i przestarzałe metody uprawy, stosowane od czasów dobrego cesarza Czin Hong.

Ryż... ryż... ryż... Ryż, to chleb i kasza, dziesiątki potraw smakowitych i sytych. Ryż — to słońce i pasza dla bydła. Ryż — to maty, na których się śpi, i kspelusze, które chronią przed słońcem i deszczem. Ryż — to życie, radość, szczęście.

Uprawiano go w Chinach od tysięcy lat, zbierano go miliony ton — ale nigdy nie starczyło go dla tych, z których potu i krwi dojrzewał. To nieprawda, że Chińczycy zawsze jedli ryż. Ryż jedli zawsze tylko zamożni Chińczycy, jedli go do syta tylko ci, którzy mieli: ogromne polacie ziemi, i pieniądze, i fabryki, i przyjaźni w willach zagranicznych koncesji. Ci, co go siali i zbierali — chcieli tylko jeść ryż, marzyli o tym, często nie znając jego smaku.

Chłop Lo Fan-he z Henan, w prowincji Hunań, dzierżawił u obszarnika Lu Wej-hana 8 mu ziemi (1 mu = 1/16 hektara). Zbierał przeciętnie 29 pikuli ziarna (1 pikul w tej okolicy równał się około 85 kilogramom). Z tego 19,5 pikuli oddawał obszarnikowi tytułem opłat dzierżawnych. 7 pikuli pochłaniały podatki i prezenty dla obszarnika i kuomintangowskich urzędników, 12 pikuli i fundusz siewny. 3 pikule ziarna — oto płon nadludzkiego wysiłku, oto z czego miał żyć chłop Lo Fan-he z rodziną, złożoną z żony, starszki matki i czwórki dzieci. Nie znał smaku ryżu Lo Fan-he, nie jadła go jego rodzina, żywił się stęchlą czumizą, a gdy i ona się kończyła, korzonkami, zbieranymi na zboczach pagórków.

Jakiś mądry i sprytny dygmitarz ułożył kiedyś maksymę: z ukradzionego ryżu nie ugotujesz smacznej potrawy. Ów wielmoża miał siał mieć tysiące mu ziemi — on kraść ryżu nie potrzebował. Ale chłopci, dzierżawcy u niego nagrażoną ziemię — przymierali z głodu. Nie w imię etyki, nie z dbałości o szlachetność dusz wyzutyk z praw chłopów ułożył sprytny bogacz piękną sentencję, ale ze strachu, aby głodni nie ośmielili się zajrzeć do jego spichlerza, by nie ukryli przed jego wzrokiem garstki ryżu.

Obszarnik Fan Fu-tin z powiatu Juendzian wpadał czasem zniechacka do niedźnych chłopskich chat i kontrolował zawartość jednego — często dzierżawionego u niego — garnka. Biada chłopu, u którego znajdował ziarnka ryżu w niesolonej wodzie — namiastce zupy. Nazajutrz służył obszarnika wielki nieszczęśliwiec przed gniewne oblicze spalonego Fana, który w księdze długów zapisywał znaczkami niezrozumiałych hieroglifów, że chłop Czu Boa-tie, lub chłop Li Szun-czu winni są, tytułem niezapłaconego czynszu, tyle a tyle miarek ziarna.

We wsi Lo Pan Sian, w prowincji Guansai, obszarnik Li Siao-czin zbudował sobie 10 magazynów zbożowych, w których rokrocznie gromadził ponad milion dziu ryżu (około 600.000 kg), ściąganych tytułem opłat od swoich dzierżawców. W tej samej wsi chłop Li Ji-czi wraz z rodziną zjadał rocznie 260 dziu ryżu. A minimum życiowe, wyliczone nawet przez kuomintangowskich statystyków, wynosiło 720 dziu.

Błogosławione ziarno szczęścia cesarza Czin Hong stało się ziarnem niedoli, źródłem krzywdy. Feudalizm, któremu kres położyło dopiero zwycięstwo rewolucji, przez tysiące lat dawał jednym purpurę i ryż, innym nędzę i głód.

Ale lud — pracowity i cichy — zrywał się nieraz w rozpaczliwym buncie. Wtedy szły do szturmów na skostniałe twierdze tyśiątkroć przekłębego ustroju oddziały powstańców-chłopów. Z dymem szły obszarnicze pałace i skrypty dłużne. Głodni żądali ryżu, poniewierani żądali praw. „Człowiek, który uprawia ryż, nie może zaznać głodu“ — głosiło jedno z haseł powstania Taipingów.



Brygada Cher Yun nanga szczyci

Rewolucja ludowa przyniosła chłopom chińskim ziemię. Na zebraniach wiejskich palono obszarnicze akty własności.





Niu Wen. Podział ziemi obszarnika.



rekordowym zbiorem ryżu, który dzisiaj dojrzewa jednakowo dla wszystkich.

Jest gatunek ryżu o różowawych ziarnkach, przeciętych kilku czerwonymi żyłkami. Lud chiński mówił, że taki ryż dojrzewa na ziemiach użyźnionych krwią powstańców. A jedna z legend głosiła, że nadejdzie dzień, w którym z ziarnek wyjdą żywi bohaterowie, by pomścić niedolę i wywalczyć szczęście, a wtedy ryż będzie dla każdego.

Historia nadała żywy kształt marzeniom ludu. Miliony powstały do walki, skupiły się pod sztandarami partii komunistycznej, obaliły znieprawdzonego ustroju wyzysku, stworzyły potężne państwo, którego władcą jedynym i mądrym — jest sam lud.

Spełniły się sny zaklęte w legendach. Dziś w Chinach ryż dojrzewa dla wszystkich. Ogromny kraj przestał być ziemią ludzi głodnych. Przed otwartymi drzwiami wiejskich chat stoją dzieci — czarnookie, o okrągłych jak księżyc buziakach i błyszczących oczach i zręcznie machając pałeczkami jedzą ryż. Żona Lo Fan-he ustawia na niziutkim stoliku, otrzymanym z podziału własności obszarnika, miseczki z dymiącym ryżem. Plon zbierany przez Lo Fan-he należy do niego, a ziemia, którą od wieków obrabiali jego ojcowie, stała się nareszcie jego własnością...

Statystyka przemawia liczbami. W 1952 roku na polach Chin Ludowych, na polach, które władza ludowa zwróciła ich prawowitym właścicielom — chłopom, urodzaj ryżu przekroczył o 15% najwyższy urodzaj sprzed wyzwolenia. W niedalekiej przyszłości zbiory ryżu w Chinach Ludowych wzrosną o dalsze 50%. Ziemia zaczęła rodzić obficie.

Ktoś mógłby zapytać — ale czy już dziś można mówić o tym, że w Chinach nie ma ludzi głodnych, czy już dziś ryż jest dla wszystkich? Czy 15% nadwyżki wystarczy? Niech obliczy: we wsi Lo Pan Sian nie ma już obszarnika Li Siao-czin, który kradł chłopom milion dzu ziarna. Tym ryżem karmi dziś swą ro-

dzinę Li Ji-czi, i dawny dzierżawca Czou Sin-duan, i setki innych, głodujących do niedawna rodzin. A ilu takich obszarników lud chiński wypędził precz...

W niewielkiej wiosce Mi Si Sian, u stóp wzgórza, na którym rośnie gaj wysmukłych bambusów, stoi nowy dom chłopca Czen Fan-fu. Za chatą rosną dwie palmy — od tego miejsca zaczyna się pole ryżowe. Szachownica wodnych tafli połyskuje w słońcu. Półka wspina się tarasami po łagodnie wznoszącym się zboczach. Czen Fan-fu spieszy się — jego miejsce przy łopatach pompy jest puste, a trzeba jeszcze dzisiaj podać wodę na trzeci poziom.

Na wysokiej skrzyni leży kurtka z dwoma błyszczącymi medalami. Czen Fan-fu jest bohaterem pracy, mistrzem wysokich urodzajów. Na 8,13 mu ziemi, otrzymanej z reformy rolnej, uzyskuje średnio 1394 dzu ziarna z jednego mu. A przecież jeszcze cztery, nawet trzy lata temu zbierał nie więcej niż 700—800 dzu. Ale wtedy pracował dla obszarnika Lin Czen-dżana, nie dla siebie. Wtedy obszarnik Lin zabierał mu wszystko „za dług”. Nawet siostrę zabrał i sprzedał do „hotelu” w Kantonie.

— Im więcej człowiek zebrał, tym mniej miał — Czen Fan-fu wzrusza ramionami: te sprawy są dziś już tak dalekie... — A i skąd miał człowiek mieć siły do pracy, skoro żywił się trawą i zupą z korzonków.

Czen Fan-fu zapomina na chwilę o pustym miejscu przy pompie. Musi jeszcze opowiedzieć o innych — o Tanie i o Czen Gu-wanie, o brygadzie wzajemnej pomocy, którą stworzyli w roku 1951. 11 rodzin weszło do brygady — wszyscy byli nędzarze. A teraz razem mają 85 mu ziemi i zbierają obfite plony.

Czen opowiada: w roku 1947 dziecko obszarnika Lin Czen-dżana zachorowało. Chłopskie dziecko nawet nie zwróciłoby uwagi na ból żołądka. Chłopskie dzieci przywykły do bólu — tego bólu w pustych brzuchach. Ale dziecko obszarnika Lin objadło się i zachorowało. Pani Lin kazała ugotować dla dziecka ryż. Służąca U Sion-czen przypaliła trochę kaszkę. Myślała wtedy o swoim dziecku, kochającym z głodu w mrocznej lepiance na krańcu wsi. Pani Lin w wielkim gniewie rzuciła w twarz służącej gorący ryż, kazała dwu sługom zabić „bezczelną nędzarke”, podarła torbę i podeptała kilka dzu ziarna. Potem poleciła nakarmić tym świnie i sama pilnowała, aby jedno ziarnko nie zostało zabrane przez służącą. Głodni niech zdechną...

Owe wiosny 1947 roku we wsi Mi Si Sian zmarło z głodu 37 dzieci dzierżawców obszarnika Lin. Owe wiosny dwudziestu chłopów musiało „za dług” oddać obszarnikowi Lin swoje małe skrawki ziemi.

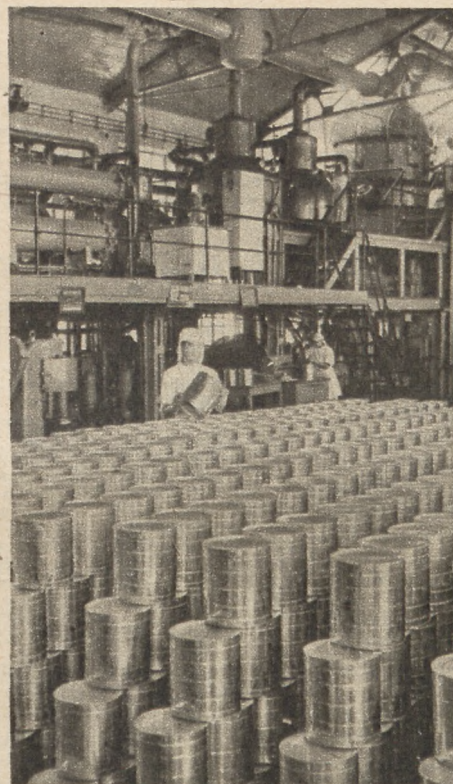
Dziś w Mi Si Sian dzieci jedzą ryż. Dziś na targu w Lilin chłopci sprzedają swoje ziarno. Dziś w Mi Si Sian wszyscy mają ziemię. W Mi Si Sian stary chłop Den Guan-czin mówi: Partia i Mao zwrócili chłopom ryż. Prawie 5 000 lat temu dobry cesarz Czin Hong po raz pierwszy zasiał błogosławione ziarno sytości. Dobry cesarz nie znał głodu, nie znali go jego następcy, nie znali go moi władcy Krainy Środka ani wierni ich słudzy. Dla nich ryż był ziarnem sytości, dla ludu był zawsze ziarnem krzywdy i ziarnem marzenia. Dziś, po tysiącach lat niedoli, a w cztery lata po wyzwoleniu, rachunek został wyrównany — ryż należy do tych, którzy go uprawiają, ryż karmi tych, którzy budują nowe Chiny, ryż jest ziarnem błogosławionym w rzeczywistości, a nie w legendzie.



Fot. N. Sytnikow

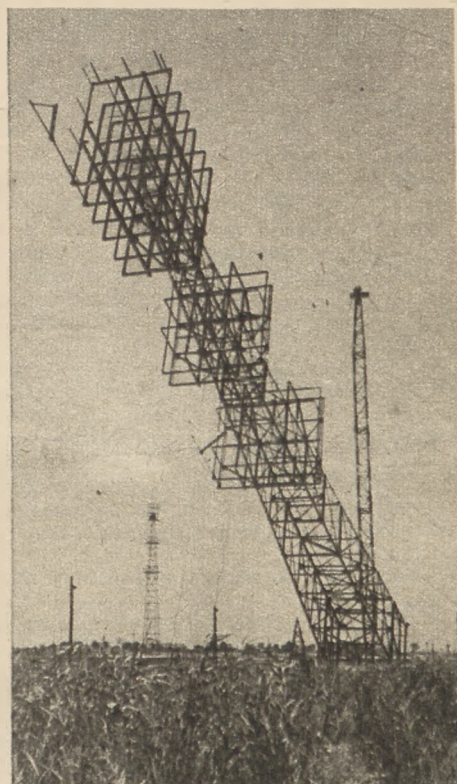
W początkach września oddany został do użytku największy na świecie gmach wyższej uczelni — nowy kompleks Uniwersytetu Moskiewskiego im. Lomonosowa na Górach Leninowskich. Obecnie we wszystkich nowoczesnych auli i pracowniach trwają zajęcia. Nasze zdjęcie przedstawia jedno z aul wydziału fizycznego w czasie wykładu.

AKTUALNOŚCI RADZIECKIE



fot. P. Lisicki

Uruchomienie nowych maszyn i agregatów w zakładach przemysłu spożywczego pociąga za sobą duży wzrost produkcji tych zakładów. Fabryka konserw „1 Maja” w Tyraspolu (Moldawia) wytwarza głównie przetwory owocowe. Dzięki nowym maszynom osiągnęła miesięczny wzrost produkcji o 800 000 5-ki-logramowych puszek konserw owocowych.

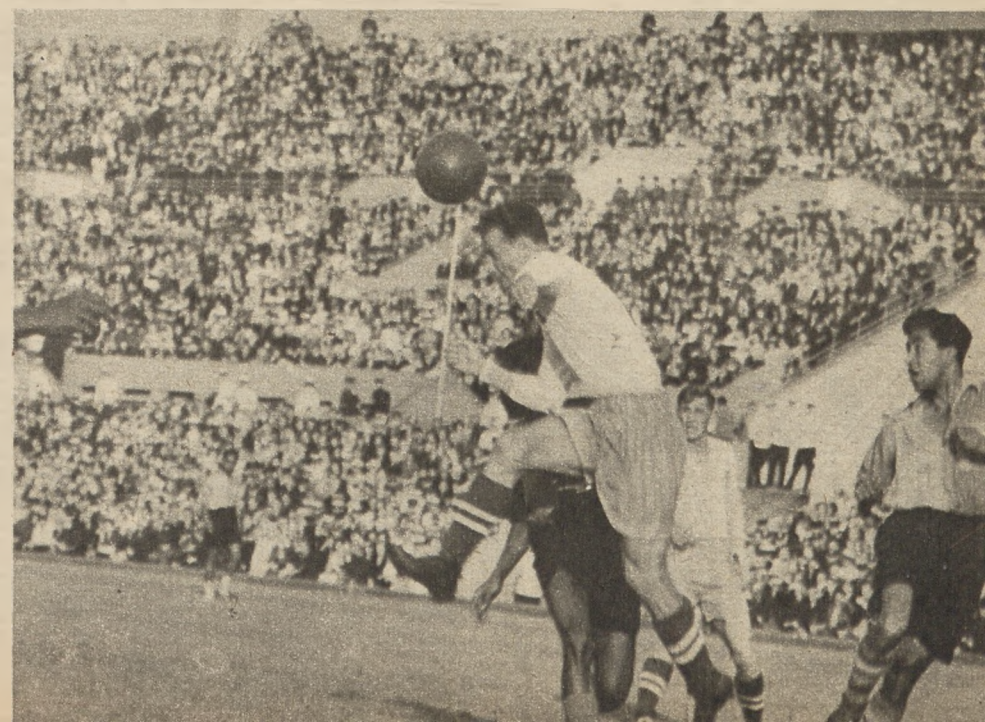


fot. J. Lichuty

Prace przy budowie Kachowskiej Elektrowni Wodnej na Dnieprze trwają dnem i nocą. Dniem świeci słońce, a w nocy... W nocy teren robót oświetlają potężne reflektory, umieszczone na 55-metrowych masztach stalowych. Na zdjęciu widzimy właśnie moment ustawiania jednego z takich piętnastopiętrowych kolosów na terenie budowy elektrowni.

Pilkarze indyjskiego „East Bengal Club” rozegrali kilka towarzyskich spotkań z drużynami radzieckimi. Porażki na boiskach nie przeszkodziły Hindusom w nawiązaniu przyjaźnielskich kontaktów ze sportowcami ZSRR. Po powrocie do kraju prezes klubu, Czandra Gucha, oświadczył na lotnisku w Kalkucie: „Nigdy nie zapomnimy gościnności narodów radzieckich”.

fot. A. Agapow





KONIEC LEGENDY



Trudno określić pochodzenie znalezionych drobiazgów, ale jedno jest pewne: grzebienie są niemal identyczne z odkrytymi w wykopaliskach na południu Polski.

KAZIMIERZ BŁAHIJ

Zdjęcia: JAN KOSIDOWSKI

PRZYJNAJE, że nawet nie zauważyłem o czym opowiadał Józef. Słońce bowiem grzało usypiająco, od rzeki szedł świeży powiew. Zawsze już tak jest na wolińskiej wyspie: na brzegu, w szuwarach — upał; na wzgórzu zaś hula nadmorski wiatr. Rzeka ma jakiś urzekający szmaragdowy odcień; można w nią wpatrywać się godzinami, śledzić ryby strzelające srebrnymi bryzgami.

— ...no, co tu kryć — balim się! Rozumiecie: hojerek nie „Batory”, utonąć w taki szorm można na amen. Więc stoję przy dziobie, a tu spod fali coś białego na nas idzie. Myślę sobie: ryba! Ale nie. Białe, podługowate niczym kamienne słupy. Ryknąłem: „Ster lewo na burt!” Położyliśmy zgrabnie na lewo i to białe zostało za burtą. Ani chybi roztrzaskalibyśmy się na drzazgi. Zaraz potem fala się uspokoiła, a w dwie godziny później wiązaliśmy w bazie. Trzy dni trwał taki szorm...

Józef westchnął, wystukał dokładnie fajkę i na nowo począł ją nabijać czarnym jak ziemia tytoniem.

— Jak myślicie, co to mogło być? Kamień by chyba nie pływał, a to właśnie wyglądało na jakieś kamienne słupy. Mocno szły. Jakby nas stuknęły, na dnie byśmy się oparli...

Słońce wisiało nad Dziwną jak wypolerowana patelnia. Złote błyski grały na rzece spokojnej, leniwej, zupełnie nie podobnej do tej, którą przed chwilą opisywał Józef. Gdzież tu utonąć? Dziwna jest senna; szerokimi zakosami płynie do Wielkiego Zalewu ku morzu. Statki tu nie kursują, tylko małe kutry i łodzie buszują za rybą. Od lat nie zanotowano na Dziwniej ani jednego wypadku zatonięcia kutra.

Chociaż...

— Jak to było panie Józefie? Powiada pan, że białe słupy płynęły?...

— Ehe, na słupy to wyglądało, marmurowe jakieś...

Słupy, i marmurowe do tego? No, już mam! Z zakamarków pamięci wygrzebuje wyczytaną przed paru laty historię, z daleka wprawdzie zalatującą żeglarską błagą, ale, jak każda marynarska opowieść, budząca w człowieku pragnienie niezwykłych przygód. Otóż 14 sierpnia roku 1771 rozbiły się na wolińskim pobrzeżu dwa holenderskie żaglowce. Dwaj mężczyźni ze Swinoujścia udali się na miejsce wypadku, gdzie byli świadkami niezwykłego zjawiska. Dziesięć stóp pod lustrem wody ujrzeli słupy z marmuru lub alabastru. Nieco dalej, pod wodą, rysowały się mury z piaskowca,

niarmurowe kolumny i wieże zamku. Nic innego tylko zatopione miasto! W swinoujskiej tawernie, gdzie zbierali się brodaczy szyprowie i wygoleni marynarze królewskiej floty, dwaj odkrywcy opowiedzieli przygodę, upiększając ją dodatkami ze swej bogatej fantazji. Nawet głos dzwonów rozlegał się po morzu w ich opowieści...

Uśmiecham się do tej osiemnastowiecznej hecy i powiadam do zamyślonemu wspominkami Józefa:

— A swoją drogą miał pan szczęście, panie Józefie. Nie każdemu ukaże się Wineta...

— Że co? — wzrusza ramionami Józef.

— No, Wineta! Nie słyszał pan?

Aż wstyd bierze; stary wolińskiak, od ośmiu lat telepie się po tutejszych wodach za rybą, rybak z dziada pradziada, a legendy nie zna. „Jakoś nie wypadło...” — przyznał skruszony, gdy mój zakwestionował jego rybackie pochodzenie.

Na upartego można by uzbierać kilkadziesiąt wersji przedziwnej legendy o przedziwnym mieście Wineta. Gdzieś tu właśnie, na wyspie, którą z trzech stron obmywają rzeki, a z czwartej Bałtyk, miał istnieć gród przebogaty, wzniesiony przez ludzi żyjących z łupieżczych wypraw na morza. Konie morskich zbójców z Winety miały złote podkowy, dzieci zaś bawiły się kulami z najszlachetniejszego srebra. Ulicami, zbudowanymi z bursztynu, płynęło wino zrabowane na gallickich brzegach. Dniami i nocami grzmiały dzwony na marmurowych wieżach Winety, płynęła hulająca pieśń i brzmiał w pałacach śmiech kobiet, aż truchleli kapłani w kamiennych świątyniach, strzegący bogów, którym nikt już nie składał ofiar. Oni to, wszechmocni bogowie, zostali wędrowca pod mury Winety. Opamiętaj się, Wineto, bo kara bogów niejednego już dosięgła! Lecz coś zdoła pohamować ludzi zapamiętałych w rozpamiętanie i grabieży? Wystąpiły więc na rozkaz bogów z czterech stron wody i zatopili przestawne miasto Wineta. I odtąd, co jakiś czas, jakby na ostrzeżenie dla potomnych, spośród fal wypływa biały, z marmuru i alabastru, gród, kołysze się na wzburzonych wodach i żali tęsknym głosem dzwonów. A żeglarz, co nie wstrzyma swego okrętu na widok Winety i nie złoży jej hołdu, roztrzaska się o alabastrówce mury...

— E, prawisz pan historie — uśmiecha się Józef, gładząc szyprowską brodę — dla dzieci dobre... Lepiej popatrz pan: Stachowiak ze swoimi wraca...

Klekot motorów narastał coraz silniej. Rzeką szły dwa małe hojery, ciężko zanurzone w wodzie, znać, że połów był obfity. Józef zebrał wędkę i ruszył w stronę bazy. Na odchodnym powiedział tonem nie znośnym sprzeciwu:

— Ale za godzinę żebys pan najpóźniej był! Spraw jest do obgadania sporo.

Schodził powoli, nie przestając śledzić łodzi wracających z Zalewu. Z rzeki pokrzykiwano mu na powitanie.

Tego jednak dnia do wolińskich rybaków nie poszedłem. Kilkaset metrów od miejsca, gdzie łowiliśmy ryby, odkryłem Winetę!

MIASTO O SZEŚCIU NAZWACH

Latem tego roku robotnicy drogowi wybierając cegły u stóp zniszczonej przez bomby katedry natrafili na kilka zmurszałych pali wystających z ziemi. Być może drzewo uległoby natychmiastowej zagładzie w ogniskach, które rozpala się na brzegu Dziwniej przeciwko masowemu atakom komarów, gdyby nie fakt, że najmłodszy dzieciak w Wolinie zna powiedzenie i przykazanie, iż: „Cokolwiek znajdziesz w ziemi, idź i powiedz o tym panu Filipowiakowi”.

Trzeba bowiem wiedzieć, że „pan Filipowiak”, albo, jak mawiają niektórzy, „inżynier od kopania” — od dwóch lat prowadzi w Wolinie badania archeologiczne związane z naukowymi studiami nad tysiącletnim państwem polskiego. Tak więc wiadomość o zmurszałych palach skłoniła wolińską ekspedycję, złożoną z dwóch młodych naukowców i trzech studentów poznańskiego uniwersytetu do kopania u stóp katedry, tuż nad brzegiem rzeki, a nie w miejscu uprzednio zaplanowanym.

Jak się później okazało, była to decyzja wielce słuszna. Prostokątny wykop nad Dziwną, na stoku wzgórza, po którym miasto schodzi ku rzece, pachnie wnętrzem ziemi. Wiele już tomów spisano o jej dziejach.

Uczony w piśmie mnich Helmold z Bosau, któremu było się zmarło w drugiej połowie dwunastego wieku, powiada, że:

„O sławie tego miasta wiele rzeczy zaledwie podobnych do uwierzenia opowiadają i ja też niektóre przytoczę. Było ono rzeczywiście największym z miast, jakie w Europie się znajdują. Mieszkali w nim Słowianie i mieszanina ludów tak Greków, jak i Rusów.

„Wreszcie pod względem obyczajów nie było żadnego narodu uczciwszego i dobrodusznieszego. Miasto bogate w towary wszystkich narodów posiadało wiele przyjemności i rzadkości.

„Powiadają, że to miasto przebogate zostało całkowicie zniszczone przez króla duńskiego, który podpiął doń na wielkiej flocie...”

Czcigodny kupiec z Tortozy, Ibrahim Ibn Jakub, komunikując światu w roku 973, że na północ od państwa Mieszka spotkał nad oceanem leżące na bagnach miasto o dwunastu bramach, „a zwie się ono Ubaba”. Kronikarz Adam z Bremy i jego kopista Helmold zwą to miasto — Jumneta. Sexo Grammaticus używa już zlatynizowanej nazwy — Julin. Ludzie z północy przeklepali nazwę na swoje kopyto: Jomsborg. Wreszcie zasobni w fantazję żeglarze, kupcy i piraci od mieszaniny nazw, skandynawskich podań i historycznych zapisów wywiedli legendę o grodzie, który nazywali Wineta!

Zaiste, nie każdy wczesnośredniowieczny gród mógł sobie pozwolić na luksus posiadania sześciu nazw i legend, które przetrwały stulecia. Trzeba było mieć mir w Europie i... pieniądze. A Wolin, bo tak brzmi prawdziwie prasłowiańska nazwa miasta nad Dziwną, miał jedno i drugie!

Aż strach wejść do czarnego mierzwowego wykopu, by nie nadeptać na historię. Tak jest, historia leży parę metrów pod gruzami dwudziestowiecznego Wolina. Historia przedsiębiorczego prasłowiańskiego plemienia wolinian, które żyło w siedemdziesięciu grodach w delcie rzeki Dziwniej.

Na ósmej warstwie, pod łopatami archeologów ukazała się chata. Plecionkowa ściana ciągnie się przez całą szerokość wykopu. Spomiędzy ścian kobiety wygrzebuje warstwy mchu i nawozu. W dwunastym stuleciu nie znano jeszcze, rzecz jasna, centralnego ogrzewania, palenisko zaś, które odkopuje Sikorowa, robotnica z naukowej ekspedycji, służyło wyłącznie do warzenia strawy. Skok przez próg i jesteśmy na ulicy, w roku dajmy na to 1124, a więc w tym czasie, gdy biskup Otto z Bambergu przybył na polecenie Bolesława Krzywoustego ochrzcić wolinian. Wąska to uliczka, aż dziw bierze, jak się tu musiał przepychać szczeciński kupiec i pirat Wyszak, gdy zjechał na woliński rynek z towarami. Legary, nie ociosane pale, schodzą ukośnie — jak wykazuje niwelator w rękach studentki Bałachowskiej — ku rzece. Błota ty były ogromne, nawet Ibrahim je zapamiętał pisząc w mieście Tortozie sprawozdanie z podróży na północ. Tonący w błocie mieszkaniec musieli więc raz po raz kłaść nowy chodnik z dranicy, czyli dąrtego drzewa, chociaż łatano dziury resztkami... łodzi! Właśnie na szóstej warstwie mgr Siedlak odkrył cztery deski z burty łodziowej. Najwyraźniej znać otwory, w których świetnie zachowały się jeszcze drewniane „dyble”, czyli nity.

— A to historia! — śmieję się z mgr Siedlakiem, a dwie wolińskie kobiety, które grzebią w mierzwie łopatkami, patrzą na nas zdziwione.

W następnej warstwie ukazuje się w lewym rogu żrący chałupy. W belce ówczesny cieśla wyciosał otwór na położenie następnej belki.

— Historia numer dwa! — mówię głośno, a dwie wolinianki patrzą na nas głęboko zdziwione.

Paru dziesiątków skorup glinianych garnków ozdobionych jakąś przemyślną plecionkową ornamentacją, falistymi linijkami, kółkami i krzyżykami — już nie komentujemy. Pochodzenie skorup jest zupełnie jasne i zrozumiałe dla archeologa, który w roku 1953 rozpoczął szukać w Wolinie dowodów słowiańskiego osadnictwa przed wiekami.

Dotąd bowiem wiele zagadek, spraw ciemnych i zawiśniętych otaczało wolińskie dzieje. Dotąd wszyscy polscy i zagraniczni prehistorycy byli zgodni co do jednego: miasto było słynne i zamożne, nie na próżno ota-

Magister Filipowiak zakłada kostium nurka: sam sprawdzi na dnie, czy znalezione pale świadczą o istnieniu w Wolinie dawnego mostu.



czła je piękna legenda o Winecie. Lecz od wielu lat trwa spór, kto był założycielem miasta, kto pierwszy, prasłowianin czy Norman, pobudował ołtarze bogom, rozpalił ognisko i zaczął tworzyć życie i kulturę. Od przeszło stu lat trwa ten spór. Dowiedzenie prawdy jest potrzebne nie tylko prehistorykom i archeologom. Prawda ukryta w ziemi wolińskiej potrzebna jest ludziom, którzy wiosną roku 1945 objęli ziemię nad Odrą we władanie, zrosili ją krwią i potem, orzą tu, sieją i zbierają od ośmiu lat plony.

Prawda o Wolinie potrzebna jest również dla dobicia pewnej teorii, wygłoszonej na Wolinie przed dziewiętnastu laty...

„HACKENKREUZ“ UBER WOLIN!

Pewnego dnia roku 1934 na rynku wolińskim — piękny to był ranek — otoczonym kolorowymi kamieniczkami, odbyła się skromna, aczkolwiek podniosła uroczystość. Na wysoki maszt wciągnięto flagę ze swastyką. Kilku sturmführerów z SA, cywil o ruchach „specjalisty“ z SS, przybyli z Berlina, oraz burmistrz miasta salutowali flagę. Orkiestra miejscowej straży pożarnej — jak podaje szczeciński dziennik — odegrała „Horst Wessel-Lied“. Następnie burmistrz wygłosił przemówienie do grupki uczonych, która nieśmiało przystanęła na boku. Burmistrz był wściekły, że archeolodzy na długie miesiące pozbawia go dochodów z tytułu miejskich podatków nieprzerwanym potokiem płynących od rynkowych handlarzy, ale „cywil“ z Berlina spoglądał stanowczo i Herr Bürgermeister wyrabiał mowę bez zająknięcia się, życząc naukowcom „owocnego trudu dla umocnienia niemieczyny na Wschodzie i w budowie Tysiącletniej Rzeszy“.

W tak niesprzyjających warunkach — z jednej strony burmistrz naciskał na szybkie uporządkowanie rynku, z drugiej cisnął Berlin — Karl August Wilde, kierownik ekspedycji naukowej, rozpoczął poszukiwania za germańską metryką Wolina, którą tak bardzo pragnęli posiadać fachowcy z „Rassenamt“, z „Ostinstitut“ i z wielu innych hitlerowskich urzędów zawodowo trudniących się „umacnianiem niemieczyny na Wschodzie“. Albowiem, jak orzekł jeden z historyków hitlerowskich nad wolińskimi wykopami „...od niepamiętnych czasów, od epoki kamienniej i bronzowej, ziemie Europy środkowej i wschodniej zamieszkałe były przez ludy germańskie. Mniej więcej od równiny rosyjskiej, a w każdym razie od rzeki Bug. To wszystko byli Germanie. Trzy czwarte Europy należało do nich“.

Krótko i dobitnie. Naukowcy w mundurach SS i po cywilnemu przygotowywali haszysz dla przyszłych uczestników marszu na wschód.

Wilde kopał sześć lat. Po sześciu latach musiał przyznać, że miasto Wolin było... słowiańskie!

Wydawałoby się, że klęska była zupełna. Lecz fachowcy od ideologicznego przygotowania narodu niemieckiego do marszu po Ural nie łatwo rezygnowali. Naukowy elaborat Wildego nie zawierał wprawdzie sloganów o „przestrzeni życiowej“ i o „germańskiej przyszłości na Wschodzie“, ale za to praktycznie, punkt po punkcie uzasadniał, że właściciele miasta stali na bardzo niskim poziomie kulturalnym, skoro:

„...w XI i XII wieku budowali tylko plecionkowe chaty niezwykle prymitywne, solidne zaś domy słupowe i zrębowe znalezione w Wolinie są pochodzenia obcego...“

„...cała ceramika wolińska jest pochodzenia normańskiego i z germańskich osad w Szlezewiku...“.

I tak dalej w tym duchu. Miasto jest wprawdzie słowiańskie, ale cokolwiek w nim znajdziecie jest germańskiego pochodzenia.* Świetnie — ucieszono się w Berlinie. Enuncjacja „obiektywnego“ uczonego przyklasnęli specjaliści od umacniania niemieczyny i poczęły się sypać komentarze do elaboratu Wildego. Pisał osławiony Bolko Freiherr von Richthofen, junkier ze Śląska, historyk, dziś prawa ręka bońskiego kanclerza; dyrektor szczecińskiego muzeum, Otto Kunkel, stwierdzał w każdej swej publikacji o Wolinie, że „sposoby budowy i świadectwa kulturowe mówią o ścisłym związku i zależności miasta od północno-germańskich plemion“; inny zaś dyrektor muzeum, Ernst Petersen z Wrocławia, zapędził się i napisał, iż wolinianie nie potrafili budować łodzi, czego wyrazem jest... znalezienie resztek burt łodziowych na ulicach miasta! Lepiej nie można było!

„Hackenkreuz“ powiewał nad Wolinem do kwietnia 1945 roku. Nad Dziwną, szmaragdową rzeką, której kolor tak bardzo zachwycił mnicha Helmolda, leża gruzy miasta. Nie ma już pięknych kolorowych kamieniczek przy rynku, dwa kościoły tkwią na wzgórzu z roztrzelanymi pierściami.

Stoimy z mgr Siedlakiem nad czarną jamą wykopu i zastanawiamy się: który to już raz zniszczono gród nad Dziwną?

POPIOŁY MÓWIA...

Sikorowa, kobieta o siwych włosach zlepionych nad skroniami i o twarzy oplecionej koroną zamarszczek, podaje mi pełną garść mierzwy z wykopu:

— Widzi pan? Sam popiół i węgle. Ani chybi naród tu musiał wycierpieć niemało...

Węgielki są drobniałe; sosna i brzoza z chałup, wysuszona słońcem, musiała płonąć znakomicie, kiedy w drugiej połowie XII wieku duński książę Swen z arcybiskupem Absalonem dokonali zagłady miasta. Od tego czasu Wolin już nigdy nie podźwignął się z upadku. Duńczycy nie tylko spalili domy i rozpadzili cztery tysiące mieszkańców, ale zrujnowali Wolin ekonomicznie; zagrodzili do wolińskiego portu dopływ towarów ze Wschodu i środkowej Europy.

Z tego okresu pochodzą pierwsze warstwy osadnicze. Spod łopatek Sikorowej i Szczeglewskiej wylaniają się fragmenty najprawdopodobniej rybackiej chaty, wolińskie dziewczęta z pietyzmem wybierają szczątki ryb sprzed ośmiuset lat i rybackie pławiki. Bałachowska, pulchniutka studentka z Poznania, wymierza położenie odkrytych ścian, mgr Siedlak z asystentem Garczyńskim wyrysowują na planie wykopu miejsca znalezisk. Na pierwszy ogień idzie fragment zrębowej chałupy.

— To jest gwóźdź do dobicia Wildego, namacalny, że tak powiem, gwóźdź... — powiada Siedlak.

Przypomnijmy sobie, co twierdził Wilde: Słowianie mieli niską kulturę, więc budowali chaty plecionkowe. Do takiego wniosku doszedł ów uczone, zbadawszy zaledwie 142 metry kwadratowe miasta, którego powierzchnia, jak powiadają kroniki, wynosiła 50 ha. A tymczasem nasi naukowcy znajdują w słowiańskiej warstwie osadniczej kawał zrębowej chaty. Zresztą zrębową budowa i fragmenty plecionkowych ścian powtarzają się przez wszystkie warstwy osadnicze. Jakich dokopał się Wilde. W dwóch tylko miejscach natrafił on na ślady normańskiej palisady. W pozostałych 13 warstwach budowa podobna była do tej, jaką stosowali nasi ojcowie nad Wisłą i Wartą.

Ale to jeszcze nic. Wolińskie popioły mówią znacznie więcej, tym bardziej, jeśli to nie są całkiem popioły, lecz skorupy garnków. Oglądałem je na polowej wystawie archeologicznej w Wolinie, wystawie, z której mogą być dumni nasi młodzi naukowcy. Wprawdzie nikt tam z Powiatowej Rady Narodowej jeszcze nie zajrzał — za to lud woliński wali bez przerwy, dziwuje się, czegoż to ta ziemia-matka nie kryje, i pokrzepiony na duchu wpisuje się do wyłożonego przez studenta Garczyńskiego zeszytu: „Zwiedziłem — Radomski ze wsi Domysłów“.

Więc na tej wystawie pokazywano mi garnki. Ładne garnki. Ozdobne. Wilde twierdził, że są pochodzenia niesłowiańskiego. A niby skąd, proszę archeologa, z Hamburga?

Balszy ciąg na stronie 11



Irena Szczepaniak oczyszcza odłamek garnka, w którym gotowano strawę dla rybaków sprzed tysiąca lat.

Stanowisko Nr 4: „Sam popiół i węgle... Ani chybi, tu naród musiał wycierpieć niemało...“ Spod warstw ziemi i popiołu wylaniają się drewniane konstrukcje drogi i chat, wylania się tysiącletnia historia miasta.





W długie przyzmy zsypuje się ziemniaki przywiezione na punkt skupu w Repkach.

50 TON DZIENNIE...

LICZNI pisarze i malarze przekazali nam obraz siewcy, rzucającego w ziemię ziarno owym słynnym „błogosławiącym” ruchem. Wielu artystów utrwaliło w swoich pracach radosny trud żniw. Nie trudno jednak zauważyć, że najmniej wdzięczny temat, szczególnie dla malarza, stanowią wykopki. Nic dziwnego. Nie ma tu ani patosu siewów, ani rozmachu żniw. Smutek nagich pól, chmurna szarość jesiennej nieba zdają się podkreślać szczególnie ciężką pracę przy wykopkach i to pracę wykonywaną przeważnie przez kobiety. Jak pamięcią sięgnąć, w najważniejszych pracach rolnych utrzymał się bowiem swoisty podział funkcji. Polegał on na tym, że silowy były sprawą wyłącznie niemal męską, żniwa — męsko-kobiecą, a wykopki spoczywały głównie na barkach kobiet.

Dziś do siewu używa się już powszechnie rzędowych siewników, w pracach żniwnych kosa została zmieniona na snopowiązałkę, a cepy na młocarnie. Przy wykopkach ciągle jeszcze maszyna stosunkowo najmniej zaoszczędza trudu człowiekowi. Prawda, że w gospodarstwach państwowych i spółdzielczych, a także — dzięki pomocy ośrodków maszynowych — w licznych gospodarstwach chłopskich pracują dziś kopaczki mechaniczne, a w wielu okolicach używa się pługów-wyorywaczy. Jednak i za tymi maszynami zbiera się ziemniaki ręcznie, a dotąd jeszcze w olbrzymiej liczbie gospodarstw ręcznie odbywa się i samo kopanie.

Podobnie kopie Wojewódzka. Posuwa-

jąc się naprzód na kolanach, pracownicy dziobie motyką. Obok mają segregować ziemniaki według wielkości i napełnia nimi worki. Mała Irenka pomagała trochę rodzicom, ale szybko jej się to znudziło i teraz siedzi na wozie hołubiąc swoją szmacianą lalkę. Gospodarz zagadnięty o kopaczkę przyznaje, że można wypożyczyć ją z GOM-u. Tak właśnie patrzac na zgięte plecy kobiety — twoja praca teraz prawie taka sama, a jej znacznie cięższa. Może jednak wyciągnie kobieta z tegorocznego trudu

W workach czy wprost „w deskach” wiozą chłopci dorodne kłęby z pola.



właściwy wniosek, że władza ludowa po to maszyny do ośrodków śle, żeby przede wszystkim małorolnym i średniorolnym chłopom w pracy pomóc.

A Stanisław Wojewódzki jest właśnie chłopem małorolnym. W dwóch kawałkach ma w Kamionce razem 3,40 ha, z tego na pół hektara miał w tym roku ziemniaki. Czy dobrze obrodziły? Żaden szanujący się rolnik nie odpowie na to pytanie twierdząco. Po prostu nie wypada. Słyszy się więc w odpowiedzi, że z tym urodzajem, co to ludzie gadają, to znowu nie jest tak dobrze. Obrodziło, bo obrodziło, ale nie we wszystkich odmianach. Mogłoby być lepiej, choć i najgorzej nie jest. Z tego skomplikowanego nieco wywodu wynika jasno, że ziemniaki w tym roku plon dały dobry.

Potwierdzają to najlepiej dorodne kłęby, które Wojewódzki wysypuje właśnie do worków. Te najmniejsze zakopuje się i będą na paszę dla inwentarza: koń, krowa, cztery świnie — jest co żywić. Te średnie będą na własny użytek, a może i na wolnym rynku coś się sprzeda. Tamte zaś najdorodniejsze zaraz z pola zawiezie się na obowiązkową dostawę.

Komu w drogę, temu czas. Siadamy więc na twarde worki i jazda. Do dostawy ma Wojewódzki wyznaczone 525 kg. Na wozie jest więcej, pewnie z 6 kwintali, bo przecież człowiek aptekarzem nie jest, a przy dostawie wszystko zważa i za każdy kilogram zapłaca. Zboże i mięso też już odstawione, trzeba teraz tylko szybko trzecią ratę podatku wpłacić, bo przez omłoty i wykopki człowiek trochę termin przegapił.

Punkt odbioru ziemniaków przy gminnej spółdzielni w Repkach mieści się w podwórzu dawnego obszarnczego majątku. Kilkanaście wozów stoi w kolejce, ale odbiór idzie sprawnie. Dzienne przywożą tu chłopcy około 50 ton ziemniaków. Wkrótce przychodzi kolej na naszego znajomego z Kamionki. Worki wędrują kolejno na wagę. Piękne ziemniaki sypią się na wielką przyzę. Wojewódzki idzie do magazyniera po kwit, a stąd do gminnej kasy spółdzielczej po pieniądze. Jest zadowolony, czasu na próżno nie zmitrężył. Łatwo się domyśleć, że Irenka, która właśnie z przymilnym uśmiechem coś ojcu na ucho szepce, nakłoni go z pewnością, aby wstąpić do spółdzielczego sklepu, gdzie takie smaczne mają cukierki.

Cztery razy dziennie odjeżdża z Reppek ciężarówka załadowana ziemniakami. Na stacji w niedalekim Sokołowie sprawnie idzie załadunek wagonów, choć powiat wysoko przekracza plany skupu. Czasami bywają trudności z wagonami, ale kolejarze robią co mogą. Mocno wzięli sobie do serca sprawę swoich żniw — wzmożonych przewozów jesiennych.

Lokomotywa posapuje pracowicie. W chwilę po gwizdku przetokowego głucho uderzają o siebie bufory spinanych wagonów. Pociąg gotów. Kiedy w zapadającym mroku zabłyśnie na semaforze zielone światło, ziemniaki odstawione przez Wojewódzkiego i tysiące innych chłopów wyruszą w daleką drogę. Do robotniczych stołówek w Nowej Hucie, do warszawskich restauracji, do piwnic małych domków górniczych osiedli.

Semafor w górę!

MICHAŁ SZULCZEWSKI

Zdjęcia: K. JAROCHOWSKI

„ŚWIAT” przypomina

Dziesiąta plaga egipska

Seweryn Goszczyński (1801—1876), uczestnik powstania listopadowego, poeta, publicysta i działacz postępowy, był w latach 1839—41 współpracownikiem pisma „Pszonka”. Zamieszczał w nim artykuły o treści satyrycznej, będące odbiciem toczącej się wówczas na emigracji walki pomiędzy obozem demokracji a obozem reakcji, którego centralną postacią był ks. Adam Czartoryski. W „Pszonce” też ukazał się poniższy utwór Goszczyńskiego:

Mojżesz był wielce zafrasowany uporem Faraona. Użył przeciwko niemu wszystkiego, co jest najobrzydliwsze, i najszkodliwsze, najstraszniejsze na ziemi: napelnił egipską ziemię żabami, myszami, pluskwami, a Faraon był nieugięty. Gdy to rozmyślał Mojżesz, wpadł w gniew wielki, a w tym gniewie postanowił



wił udać się do najstraszniejszej, ostatecznej plagi, jaką zachował sobie. Bóg zobaczył gniew Mojżesza, jako gniew lwicy nad pobitymi lwiatami, przyszedł do niego i pytał: „Co ci jest, mój przyjacielu Mojżeszu, żeś taki zagniewany?” A Mojżesz odpowiedział: „Oto użyłem dziewięciu plag przeciw Faraonowi, a zmieknąć go nie mogłem; teraz postanowiłem użyć dziesiątej, aby raz przecie z Egiptem skończyć”.

— Dobrze robisz, Mojżeszu, ale jakąż to jest plaga?

A Mojżesz odpowiedział:

— Familia Czartoryskich.

Gdy to Bóg usłyszał, uchwycił się za głowę i zawołał:

— Mojżeszu, Mojżeszu! Nie rób tego, nie przyszedł jeszcze na Egipcjan ten czas ostateczny!

I długo zadumał się Bóg i Mojżesz. Nareszcie Bóg rzekł do Mojżesza:

— Mojżeszu, odstąp mi tę plagę!

A Mojżesz odpowiedział:

— Dobrze, mój Panie, ale ja, głupi Mojżesz, nie mogę domyślić się, co byś, Boże, z nią zrobił, na którym ludzie chcesz ją doświadczyć? Mnie się zdaje, że nie ma i nie będzie ludu gorszego nad egipski.

— Prawdę mówisz, Mojżeszu — odpowiedział Pan. — Ja też nie chcę doświadczać twojej plagi na ludzie najgorszym, ale na ludzie najlepszym. Będzie on żył w kilkanaście czasów po tobie; będzie najmilszym z narodów przed moim obliczem, przeto będę go nawiedzał różnymi plagami, aby doświadczać jego cnót. Będę puszczając na niego kłęski gorsze, jak na sługę Joba: Tatary, pomór, Krzyżaków, szlachtę, szarańczę, carów moskiewskich, jezuitów, hrabiów galicyjskich i wiem, że to wszystko przebędzie. Na koniec puszczę nań familię Czartoryskich; jeżeli ta go nie dobieje, to zostanie podniesiony nad wszystkie w świecie narody.



Andrzej Frycz-Modrzewski — T. Łomnicki



Król Zygmunt August — A. Szczepkowski



Barbara Radziwiłłówna — H. Skarżanka

LUDZIE ODRODZENIA

Napisał: AUGUST GRODZICKI

Ilustrował: ADAM PERZYK

ŁACIŃSKIE dzieło Andrzeja Frycza-Modrzewskiego „De Republica emendanda” — „O poprawie Rzeczypospolitej” — ukazało się w pełnym swym tekście poza granicami Polski, w Bazylei, w trzy lata po krakowskim, okrojonym przez cenzurę kościelną wydaniu z r. 1551. Wzburzony tym zausznik Watykanu, posłuszny wykonawca jego polityki w Polsce, kardynał Stanisław Hozjusz, pisał:

„Nie sądzę, aby dotychczas w Królestwie Polskim napisano coś bardziej niebezpiecznego i zdolnego rozpalić nienawiść świeckich”. Istotnie, kardynał miał rację: dzieło Frycza było „niebezpieczne” dla hierarchii kościelnej, jako ostoja feudalizmu i wstecznicstwa, mogło „rozpalić nienawiść świeckich” przeciwko tym, których dobra „wzrosły i w dalszym ciągu wzrastają z ziemi, pracy i potu nie tylko szlachty, ale także plebejusów”.

Te słowa Modrzewskiego zaczerpnięte są właśnie ze skonfiskowanej księgi „O kościele”, która widocznie wydawała się „niebezpieczna” przez długie lata, skoro dopiero obecnie ukaże się po raz pierwszy w języku polskim w wydaniu książkowym Państwowego Instytutu Wydawniczego.

W czym tkwiła owa „niebezpieczność” Frycza Modrzewskiego. Występował on ostro — choć nie z pełną konsekwencją — przeciw wielu objawom ustroju feudalnego. Atakował magnaterię świecką i duchowną. Domagał się praw dla mieszczaństwa. Bronił interesów średniej szlachty. Wysuwał postulat równości wobec prawa jednakowego dla wszystkich bez wyjątku. Brał gorąco w obronę chłopów przeciw pańszczyźnianemu wyzyskowi. Chciał reformować wszystkie organy państwa, aby służyło interesom całej ludności kraju, a nie tylko jednej jej warstwie.

Tak — „niebezpieczny” był Andrzej Frycz Modrzewski, jeden z najświetniejszych umysłów ówczesnej Europy. Dziś w Polsce Ludowej dzieła jego zaliczamy do najcenniejszych skarbów naszej tradycji narodowej. Dziś w Roku Odrodzenia czcimy go szczególnie uroczystie i przypominamy społeczeństwu.

Uczczeniem jego wielkiej postaci jest też sztuka Haliny Auderskiej „Rzeczpospolita zapłaci”, wystawiona przez Teatr Narodowy w Warszawie w starannej reżyserii Józefa Wysomińskiego. W sztuce tej Frycz Modrzewski odgrywa dużą rolę, pokazany jest jako działacz i po-

lityk, walczący o realizację swych ideałów społecznych. Słuszność jego sprawy jest tak wielka, że choć w danym momencie historycznym sprawa ta ponosi klęskę, która rzuciła złowrogi cień na dalsze dzieje Rzeczypospolitej, czujemy, że jest ona zarodkiem przyszłego zwycięstwa.

Ale autorka zastrzega się, że nie napisała sztuki o Fryczu. Istotnie, bohaterem jest tu sama historia, Polska, w trudnym, ale bogatym w ferment ideowy okresie swych dziejów. Konflikty historyczne, społeczne nadają całą dramatyczność sztuce, w której poza tym akcja jest dość niska. Na ich tle ukazują się i z nich wyrastają postaci dobrze nam znane z historii, a także z literatury, wśród nich właśnie również Frycz Modrzewski. Postępowy obóz średniej szlachty, sprzymierzony z mieszczaństwem i sojusznika swego widzący w uciskanym chłopstwie, ściera się tu z możnowładztwem, magnaterią szlachecką i miejską, która, dla utrzymania się przy władzy i bogactwach, gotowa jest szukać obcej, habsburskiej pomocy przeciw buntującym się poddanym.

Te dramatyczne konflikty historyczne autorka potrafiła pokazać nie tylko w deklaracyjnych wypowiedziach, ale i w działaniu osób ukazanych na tle znanego sporu Zygmunta Augusta z sejmem o małżeństwo z Barbarą Radziwiłłówną. Spór ten stał się okazją do wyładowania napiętych przeciw sobie sił, do ataku szlachty i do ofensywy możnowładztwa, wśród którego za sprawą przyszłej królowej pragnęła dorwać się do władzy i znaczenia Radziwiłłówna.

Auderskiej udało się większość czołowych postaci historycznych. To są nie tylko portrety przedstawione zgodnie ze stanem naszej wiedzy o tych czasach, ale żywi ludzie o silnych namiętnościach i zdecydowanie nakreślonych rysach charakteru. Takim jest król Zygmunt August, zdolny i rozumny, mają-

cy twórcze i patriotyczne porywy, ale samowolny i uparty, a równocześnie o słabej woli, uległy Radziwiłłom pod wpływem Barbary, kochanej bez pamięci.

Barbara jest tu kobietą o bogatym renesansowym temperamentie i bujnej przeszłości; kocha Zygmunta, ale ma swe królewskie ambicje i daje się używać swym braciom jako narzędzie do zdobycia dla nich władzy. Opowieść o jej otruciu przez Bonę, tylekroć przez literaturę i sztukę wykorzystywana, historycy już dość dawno między bajki włożyli. W sztuce toczy organizm Barbary ciężka choroba, która nadaje jej piętno rychłej śmierci. (O chorobie tej brat Barbary pisał w liście jako „de morbo gallico” — „chorobie francuskiej”, jak nazywano wówczas syfilis). Sama Bona została tu — również zgodnie z badaniami historyków (kto ciekaw, niech zajrzy do wielkiego dzieła Wł. Pocięty) — zrehabilitowana. Jest kobietą mądrą i wykształconą, występującą przeciw samowoli możnowładztwa i pragnącą umocnić władzę królewską. Jej dążenia zbiegały się na pewnych odcinkach z dążeniami obozu postępowej szlachty i Frycza. Od-

znacza się przy tym włoską namiętnością i porywcznością, dumą i żądzą panowania, a także machiawelizmem w rządzeniu, intrygami, kupczeniem urzędami i nieliczeniem się ze środkami dla osiągnięcia celu.

Słabiej wypadła w sztuce postać Frycza oraz postaci drugoplanowe — nie dość wyraźnie zróżnicowane i niezbyt bogato wyposażone w cechy charakteru. Nie znalazły one też specjalnie mocnego wyrazu aktorskiego na scenie. Za to protagoniści grali doskonale: Ewa Kunina jako pełna dramatycznej siły Bona; Hanna Skarżanka jako Barbara Radziwiłłówna; Andrzej Szczepkowski, dający wybitne osiągnięcie aktorskie w roli Zygmunta Augusta; oraz głęboko przejmujący Władysław Grabowski jako stary, zgorzkniały i zwątpiały Stańczyk. Frycza grał Tadeusz Łomnicki.

Nie można nie wspomnieć o dekoracjach Jana Kosińskiego i Romualda Nowickiego, które dając świetnie skomponowane wnętrza zamków wawelskiego i piotrkowskiego, podnosiły w dużej mierze wartość i siłę artystyczną przedstawienia.



Hetman Tarnowski — W. Bracki



Stańczyk — W. Grabowski

WYGNANIEC Z KRÓLESTWA CZU

Napisał: TADEUSZ PASIKOWSKI

Na wezwanie Światowej Rady Pokoju cała postępową ludzkość obchodził w bieżącym roku sześć wielkich rocznic: 410 rocznicę śmierci Mikołaja Kopernika, 100 rocznicę urodzin Jose Martí, 100 rocznicę urodzin Van Gogha, 400 rocznicę śmierci Franciszka Rabelais, 150 rocznicę urodzin Ralpha Waldo Emersona oraz 2200 rocznicę śmierci Ciu Juana. Jeśli sylwetki pierwszych pięciu postaci są znane polskiemu czytelnikowi — to o ostatnim bohaterze wiemy niewiele. Kim był Ciu Juan, kiedy i gdzie żył, czego dokonał? Na pytania te odpowiada poniższy artykuł.

PIĄTEGO dnia piątej zmiany księżyca przypada w Chinach tradycyjne „Święto Smoczyc Łodzi”. Nad Jangtsekiang i Hoang-ho jest wtedy wiosna. Na polach zielenią się lany ryżu i pszenicy, w sadach kwitną wiśnie i jabłonie, a wokół pachnącego kwiecica brzęczą złote pszczoły.

Tego dnia na brzegach rzek gromadzą się nieprzeliczone tłumy, by w radosnym podnieceniu śledzić atrakcyjne wyścigi łodzi o osobliwych kształtach legendarnych smoków. W tym również dźwięku w każdym domu chińskim przyrządza się niezwykle przysmak — owinięte w liście i prażone na parze kłuski z lekkich ziaren ryżu. „Święto Smoczyc Łodzi” nie ma jednak charakteru religijnego — w dniu tym cały naród chiński czci pamięć jednego ze swych największych poetów i myślicieli, niezapomnianego bohatera i wieścza — Ciu Juana.

Sto chińskich pokoleń zachwycało się już wspaniałą twórczością Ciu Juana, a jego świetlanej sylwetki nie zatęży dwadzieścia dwa stulecia dzielące nas

od śmierci poety. Czas pokrył wprawdzie patyną zapomnienia wiele szczegółów o jego życiu i działalności, lecz z 25 utworów Ciu Juana, jakie przetrwały do naszych czasów, poznajemy aż nadto wyraźnie jego genialny umysł, niepospolity talent i gorące umiłowanie ojczyzny. Znaczenie twórczości Ciu Juana w starej kulturze chińskiej można porównać ze znaczeniem dzieł Homera w literaturze starożytnej Grecji, a charakter jego utworów — z charakterem dzieł Dantego.

„KRÓLEWSKA DROGA”

Tragicznych dzieł życia Ciu Juana nie można zrozumieć bez pobieżnej chociażby znajomości epoki, w której żył i tworzył. Czasy to od nas odległe, sięgające IV i III wieku przed naszą erą. Naród chiński dopiero co zrzucił z siebie pęta ustroju niewolniczego i w bezustannych walkach tworzyć zaczynał swą jedność państwową. Chiny dzieliły się wówczas na siedem wielkich królestw, z których leżące na północnym zachodzie państwo Ts'in było najsilniejsze, rozciągające się w dolinie rze-

ki Jangtsekiang państwo Czu — największe, a najbliższe morza położone państwo Ts'i — najbogatsze.

Walka siedmiu państw o hegemonię toczyła się w zasadzie między królestwami Ts'in i Czu. Inne królestwa grawitowały między obiema potęgami. I stąd w Chinach nurtowały dwa prądy polityczne: jeden opowiadał się za państwem Ts'in, a drugi za królestwem Czu. Zwolennicy przymierza z państwem Ts'in byli zdania, że dzieła zjednoczenia Chin dokonać można tylko poprzez podboje i zabory królestw — natomiast opowiadający się za sojuszem z królestwem Czu uważali, że ten sam cel osiągnąć można w drodze nawiązywania pokojowej współpracy z wszystkimi pozostałymi państwami, podnosząc ogólny poziom ich gospodarki i kultury oraz zapewniając narodom najlepsze warunki życiowe i pełne bezpieczeństwo. Była to tzw. „królewska droga” do zjednoczenia Chin, a zwolennicy jej pozostawali pod przemożnym wpływem postępowych na owe czasy nauk największego filozofa i reformatora chińskiego — Konfucjusza.

W tych to czasach, około roku 320 przed naszą erą, na dworze władcy państwa Czu — Hoej-Wanga zjawiał się młody i wykształcony arystokrata spokrewniony z rodziną królewską — Ciu Juan. Jego głęboka wiedza i dojrzałość polityczna rychło zwróciły nań uwagę króla. Młody dworzanin stał się ulubieńcem władcy i obsypany łaskami wybił się na wysokie stanowisko królewskiego doradcy. Od tego czasu wywierał zaczął poważny wpływ na bieg polityki swego kraju.

NIEBIESKIE PYTANIA

Przepojony konfucjuszowską filozofią młody mąż stanu był krzewicielem idei



Ciu Juan wg. rysunku Hany Wo, artysty z czasów dynastii Juan (1260—1368).

postępu i pokojowego współżycia z narodami. Nie podobano się dworakom judzącym Hoej-Wanga do wojny z państwem Ts'in. Zdecydowana polityka przysporzyła mu wrogów, którzy postanowili go usunąć ze swej drogi. Uknięta przez dworską klikę intryga odniosła skutek — Ciu Juan popadł w niełaskę i pozbawiony został przez króla zaszczytów i dostojęństw. W końcu opanowany przez obłudnych feudałów władca wypędził go z kraju. Wkrótce potem doszło do zażartej wojny między państwami Ts'in i Czu, w której wojska Hoej-Wanga zostały doszczętnie rozbite, a pokonany władca dostał się do niewoli. Zawleczono go w głąb kraju Ts'in, gdzie po dwu latach dokonał żywota. Największe z siedmiu królestw zostało tym samym doszczętnie i ostatecznie rozbite.

Opuszczony przez przyjaciół Ciu Juan z przerażeniem śledził upadek ojczyzny. Trawiony tęsknotą i bólem w przepięknych poematach wypowiadał zaczął swój żal. Te właśnie poematy, ujmujące czytelników swą niezwykłą szlachetnością, zjednały pociechę miłośnikom chińskiego narodu i uczyniły go nieśmiertelnym.

Najcenniejszym z przetrwałych utworów Ciu Juana jest poemat „Li-sao” („W nieszczęściu”), składający się z 93 rymowanych strof o skomplikowanej budowie, jakiej nikt przed nim i po nim nie stosował w poezji chińskiej. Jest to rodzaj elegii, w której obrazy wielkiej przeszłości ojczyzny Ciu Juana zestawione zostały z panującym w jego czasach rozprężeniem. Bolejąc nad niedolą własną i prostego ludu pisze poeta w słowach pełnych smutku:

Jam wiedział, że otwartość niełaskę zdobywa,
Ale ustom nie mogłem nakazać milczenia;
Więc ku niebu dłoń swoją jam wznosił
rozpaczenie
Prawość celów swych jego oddając
świadektwu.

Choć ścigają mnie teraz jako dzikie zwierzę,
Nie to jednak rozpacz serce moje nęka;
Lecz niepewność czy myśli swe ludom
powierzę,
Zanim eroga starości przynębi mnie ręka.
Choć rankiem rosa z kwiatów za napój mi
służy,
A za pokarm wieczorny — liście spadłe
z drzewa;
Gdy cnota jest mi słońcem, w tej żyć
podróży,
Mam się smucić, że z głodu pierś moja
omdlewa?

Współbraci tylko nigdy płakać nie
przestane,
że muszą żyć z chmurami nędz wszelkich
nad głową;
Daremnie czyny moje były nieskalane,
Wygnano mnie za jedno otwartości słowo!

W niezwykle oryginalnym poemacie „Tien Wen” („Niebieskie pytania”), zawierającym opis mitologicznych malowideł odkrytych pono przez poetę na ścianach zrujnowanego pałacu, Ciu Juan zastanawia się nad prawami, jakie rządzą wszechświatem. Intrygują go



CIU JUAN WEDŁUG STAREJ RYCINY CHIŃSKIEJ



BOGINI RZEKI HSIANG, DRZEWORYT Z XVII W.

pytania: ile jest prawdy w twierdzeniu, że ziemię stworzyli bogowie; jaka siła utrzymuje słońce, księżyc i gwiazdy w kopule nieba; jaki jest cel ludzkiego bytowania; dlaczego cnota jest zazwyczaj lichy wynagradzana i czemu tak często zdarza się, że zło odnosi triumf nad dobrem? Ciu Juan nie znajduje zadowalającej go odpowiedzi i to doprowadza go do rozpacz.

Był on pierwszym nieanonimowym poetą Chin i nie tylko zapoczątkował nową formę wiersza, lecz wprowadził również do poezji olbrzymie bogactwo elementów ludowych. Pisał swe utwory językiem prostym, lecz subtelnym, zrozumiałym dla każdego, przechodząc z tonów delikatnej liryki w akcenty dramatycznej grozy. Przykładem nowego stylu, jaki cechuje twórczość Ciu Juana, jest utwór „Żaloba kraju”, w którym poeta odtwarza obraz doznanej klęski. A oto wyjątek:

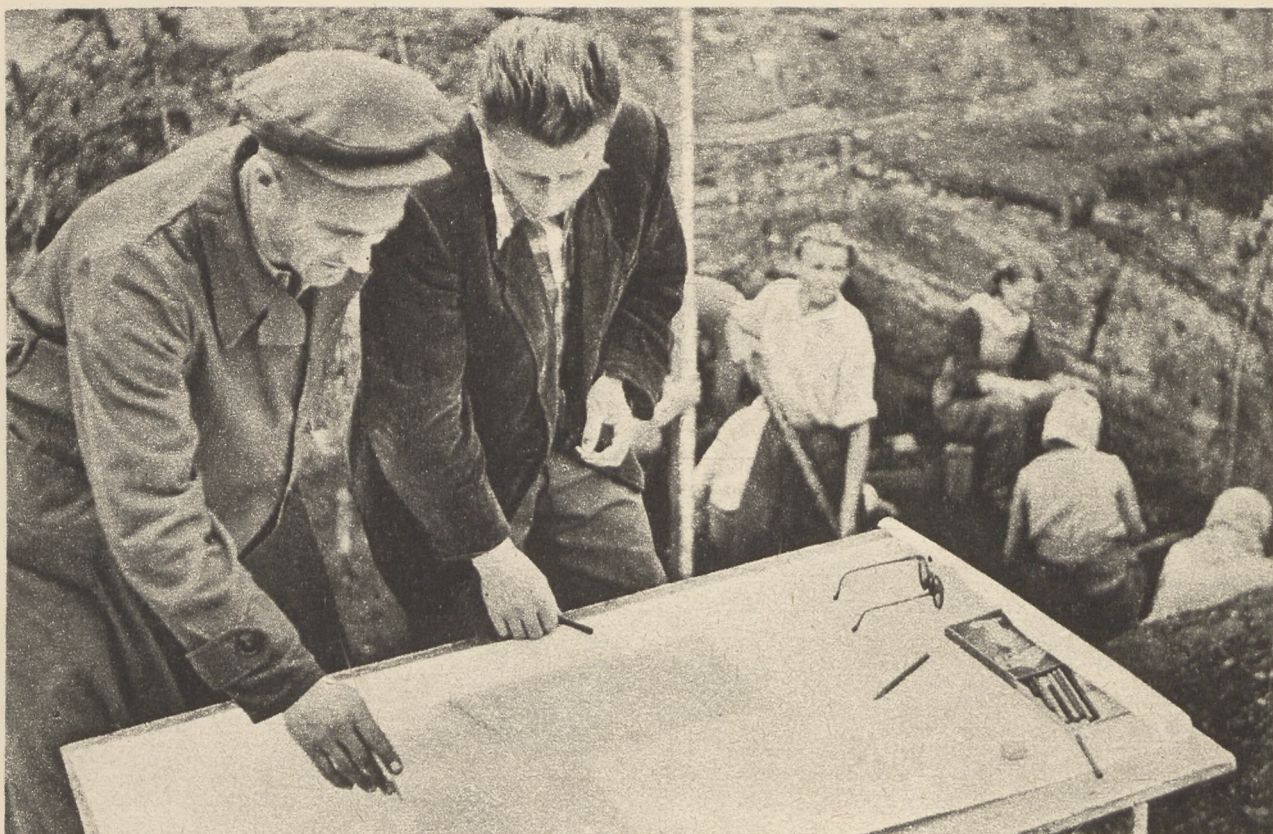
W ręku Wu oszczepy trzymając, pancers
z nosorożca ich kryje.
I wozy osiami się starły, krótkie miecze
krzyżując się z sobą.
Proporce nam słońce zaćmiły, wróg na nas
się toczy jak chmura.
Straszy się w locie krzyżując, wciąga naprzód
się cieną rycerze.
Już nasze szczyki złamano, przetrwano już
nasze szeregi.
Zabity jest prawy dyszlowy, a lewy ranami
pokryty.
Zaryły się koła w kurzawie i cztery rumaki
hamują.
Włec chwytałem paleczki z nefrytu, by
w bęben na larum uderzyć.
Niebiosy wydały swój wyrok, lecz duchów
zawzięłość została.
Rycerze do szczytu zginęli, na cwałach się
połu pokładli.
Choć wyszli, ale nie wejdą, choć poszli, ale
nie wrócą.
Błota jest szeroka i pusta, a droga do domu
daleka.
Mieczy przy boku leżą, a łuki trzymają
ramieniem.
Choć głowy (od ciała) odcięte, lecz serc im
okiełznać nie mogli.
Kto męstwa swego dowiedzie, goźdźien jest
miana rycerza,
Do końca niezłomny i silny, nikt go nie
zdola pokonać.
Ciała do szczytu zginęły, lecz duchów
działanie trwać będzie,
Bo duchem i duszą odważni, męśnymi
wśród amarych zostaną.

Przez 20 lat przebywał Ciu Juan na wygnaniu i nigdy już nie danym mu było ujrzeć ojczystych stron. Trawiony nostalgią decyduje się w końcu przerwać pasmo swego życia. W przepięknym wierszu „Wędrowka w dal” zdradza się ze swych zamiarów pisząc:

Zgnębiony czasów naszych podłości
ciężarem,
Chcę się lekko unieść, w dal powędrować.
Lecz ciało jest wzięte, nie na nim polegać;
Nie da mi oparcia, dym w górę uleciał.
Ugrzęsłem w brudzie i brodzilem w błocie,
Spętany cierpieniem s kimże miałem mówić?
W nocach mych niespokojnych zasypiać
nie mogę.
A duch mój aż do światła ze sobą się męczy.
Tylko niebo i ziemia swych granic nie
znają,
Lituje się nad ludzmi wieczystą niedolą.
Do przeszłości więcej powrócić nie mogę,
A przyszłość przede mną jeszcze jest
zakryta.
Błąkam się bez wytchnienia, trawiony
rozpaczą,
Jakieś koniec ta straszna włościwa mi wróży?
Lepiej w nurtach ras dole zakończyć
tulaczą,
Niżli w takiej męczarni żyć i cierpieć
dłużej!

W piąty dzień piątej zmiany księżyca 278 roku przed naszą erą, 62-letni podówczas Ciu Juan udał się na skalisty brzeg Mylo i objawszy ramionami ciężki glaz rzucił się w groźne odmetę. Przez cały dzień krążyły po rzece długie łodzie o kształtach legendarnych smoków, póki stroskani rybacy nie odnaleźli jego udręczonego ciała.

Całość poetyckiej twórczości Ciu Juana zamknięta w księdze Szy-king, stanowiącej dzieło klasycznej poezji drugiego okresu w literaturze chińskiej, tchnie smutkiem i tęsknotą do lepszego życia. Poeta zdawał sobie w pełni sprawę z niedoskonałości ustroju, w jakim żył, dostrzegał obłudę i zło, wyzysk i ucisk dręczący prosty lud, szukał źródeł, z których wypływała niesprawiedliwość gnębąca jego naród, lecz nie znajdował sposobów przeciwdziałania złu. Cała jego szlachetność sprzeciwiała się prowadzeniu jakiegokolwiek walki, chociażby była to walka z ludzką podłością. Nie znał i nie mógł jeszcze znać praw rządzących rozwojem społeczeństw, nie wiedział, że pokój i lepsze życie trzeba zdobywać w nieustępliwej i bezwzględnej walce z siwami zła. Mimo to jednak szlachetne myśli i pragnienia Ciu Juana i jego niezmierną miłość do człowieka umiał prosty lud chiński ocenić i czci go za to po dzień dzisiejszy.



Labirynt kresek i plam na planie staje się coraz zrozumialszy.. Mgr Filipowiak z Poznania i mgr Gorczyński z Wrocławia odnotowują każdy przedmiot. Plan pozwoli niby rentgenem spojrzeć w głąb ziemi — i wieków

KONIEC LEGENDY

Dokończenie ze str. 7

„Rodzime garncarstwo wykazuje jedynie niezgrabne formy grubej roboty naczyń ręcznie lepionych, wypalonych w otwartych jamach ziemnych, którym poskąpiono nawet ubogie ornamentyki w postaci kilku prostych wyrytych linii” — pisał skandynawski uczone G. Karlin o szwedzkiej ceramice. W wykopaliskach w Lundzie stwierdzono, że na południu Szwecji garncarstwa w ogóle nie uprawiano. W słynnych wykopaliskach germańskich w Birce na Szlezewiku odkryto jedynie prymitywną ceramikę ręcznie lepiącą. Natomiast równie piękną — jak wolińskie garnki — ceramikę odkryto w wykopach w Szczecinie. Garnki te pochodziły z IX wieku, Szczecina zaś nawet faszystowskie uczenie nie usiłowało posadzić o normańskie pochodzenie.

— A z tymi łodziami, to jak, inżynierze? — pytam Filipowiaka.

— E, szkoda nawet dyskutować — macha ręką 27-letni archeolog — o Niedamirze psn czytał?

W roku 1124 żył w Wolińie kupiec Niedamir, który pożyczyl biskupowi Ottonowi Bamberskiemu 3 statki na podróż do Szczecina. Na pewno miał ich znacznie więcej, skoro pożyczyl aż trzy, a hojność Wolińianina z uwagą wspomina spisywacz żywota biskupa Ottona.

— Zresztą, czy sądzi pan, że mając taki sprzęt nie mieli Wolińianie łodzi? — Siedlak wyciąga ze słoików z formaliną pławiki rybackie, haczyki i marki od sieci. Z pierwszych dziewięciu warstw wydobyto wiele rybackiego sprzętu.

I nie tylko rybackiego. Są tu grzebienie, niemal identyczne z odkrytymi w wykopaliskach na południu Polski, są reszki cebryków, wyroby z rogu, klucze, nożyce i noże, a przede wszystkim: kobiece ozdoby. Ach te kobiety! Nawet po stuleciach stanowią największą zagadkę dla mężczyzn. Bo do czego na przykład mógł służyć gładko obrobiony bursztynowy kraszek? Bałachowska, jako żeński członek ekspedycji, twierdzi, że do warkoczy, i mężczyźni są skłonni przyznać jej rację. Ale dwa wikłowe wianki, włożone do słoja z formaliną, budzą ogólne zaciekawienie nie tylko naukowców, ale również mieszkańców Wolina zwiedzających wystawę.

— Na głowę za małe, chyba dla dziecka — zastanawiam się głośno, mając w pamięci drewniany, ładnie rzeźbiony mieczyk — zabawkę, świadectwo ojcowskiej troskliwości jakiegoś wolińianina.

— Niekoniecznie musiano te wianki koło zwalonej ściany — rozważa Siedlak. — U nas w Kieleckiem panuje do dziś zwyczaj, że na Zielone Świątki dziewczęta splatają wianki i zawieszają je na ścianie...

Wolińskie wianuszki odkryto koło zwalonej ściany. Były zatknięte na kołoczku. Najwyraźniej są przedmiotami religijnego kultu i bynajmniej nie świadczą o niskiej kulturze prasłowian, jak tego gorąco pragnął Ernst Petersen, który zginał w esesmańskim mundurze gdzieś na radzieckim froncie. Tak samo nie mogą poprzeć tezy o niskim poziomie kulturalnym wolińian ozdoby z brązu, liczne pierścienie, kabłączki na włosy, strzępy tkanin oraz tkackie prząsłiki.

Inżynier Filipowiak opowiada mi o planach robót w roku przyszłym, o swoich marzeniach, by odkopać tu drugi Biskupin, o Górze Wiatracznej, gdzie leży cmentarzysko, o Górze Wisielców, o odkrytym moście słowiańskim na Dziwniej i naraz, jakby sobie coś przypominając, rzuca buńczucznie:

— Tamten twierdził, że przed dziewiątym stuleciem nic w Wolińie nie było. No, zobaczymy! Chwilowo jesteśmy w początkach XI wieku, ale dogrzebiemy się i głębiej...

W głosie młodego archeologa, który najpierw studiował ekonomię, a potem zapalił się do badania dziejów skrytych pod ziemią, to „zobaczmy!” brzmi jak zapowiedź zerwania wszystkich zasłon, jakimi stulecia spowiły przedziwne miasto: Wineta — Ubaba — Jumneta — Julin — Jomsborg — Wolin!

...Tak więc do wolińskich rybaków tego dnia nie poszedłem. Wieczorem w bazie było już pusto, kutry kołowały na łowisku i tylko w szopie stary sieciarz łapał oczka w świetle mdłej lampki.

Wolin o zmroku jakby nie istniało. Gdzieś przy rynku łypie żółte światelko, a od szkoły traktorzystów wiatr niesie dźwięki harmonii. Tu nad Dziwną leżą gruzy. Dwudziestowieczne dzieło jakiejś dywizji „Wi-king”. Stare gruzy, odgrzebywane spod ziemi, to dzieło Wikingów sprzed tysiąca lat, Haralda Sinozębego, Ranów, Duńczyków, księcia Waldemara, później Szwedów i wreszcie pruskich armii obu Fryderyków. „Naród tu musiał przetrwać niemało...” — przybiegają na pamięć słowa Sikorowej, wolińskiej robotnicy, która uczy się historii swojego narodu na szczątkach chat i tkackich prząsłkach. Zginęła słowiańska ludność z pomorskiego brzegu i teraz tylko na cmentarzyskach Wolina, Sabinowa, Kukulowa i Mielęcina, pod żytnimi polami nad Odrą odnajdujcie świadectwa, że ziemia ta jest ziemią ojców naszych.

Na rynku, gdzie nie ma już kokorowych kamieniczek, stoi dziś pomnik z napisem: „Chwała bohaterom poległym za Polskę Ludową nad Nysą, Odrą i Bałtykiem”. Świadectwo, że wróciliśmy tu znowu!

Odczytywałem ten napis po raz wtóry, gdy jakaś postać wynurzyła się z mroku.

— I nie przyszedł pan na bazę — powiedziała głosem Józefa, głosem, w którym nie było jednak wyrzutu.

— Jakoś nie wypadło... — odparłem Józefowym powiedzonkiem.

Szliśmy w górę miasta, między spalone kościoły wolińskie, rozgniatając ceglany gruz pod stopami.

— Wiem, wiem. Tę Winetę poszedł pan oglądać. Pewnie, że ciekawsze od naszych utrapień z rybą. Mnie to się szczególnie te rybackie kawałki podobają, co na wystawie pokazane. Znać naród pomyślunek miał niezły...

Józef przystanął i obaj patrzyliśmy teraz na rzekę posrebrzoną przez księżyc.

— Ale z tym zatopionym miastem to jednak nie jest jasne.

— Najzupełniej jasne — powiedziałem — zwykła legenda.

— Legenda? A to, co nam się pokazało, te białe słupy, to niby jak?

— Kreda, panie Józefie, kreda! Nie wie pan, że w Lubinie jest kredownia? Możliwe, że sztorm zniósł jakieś bryły...

Pomilczał dłuższą chwilę i upychając tytoń do fajki powiedział z zastanowieniem w głosie:

— Kto tam wie, a może i nie kreda...

KAZIMIERZ BŁAHLI



WALTEROWCY

MIROSŁAW AZEMBSKI

GDY dwa tygodnie temu przekraczałem bramę z napisem „Korpus Kadetów im. Generała Świerczewskiego”, zgrabny kadecik zatrąbił właśnie pod pomnikiem Waltera poranną pobudkę. I w chwili później, kiedy znalazłem się na jednej z sal sypialnych, opanowanej gorączką wstawania, przypomniałem sobie, co mi nie tak dawno opowiadał pewien znajomy, o życiu w przedwojennym korpusie kadetów w Rawiczu. Tamte sprawy, tak od dzisiejszych różne, widocznie siłą kontra-

stu powracały dosyć natrętnie na myśl podczas całej mojej wizyty u Walterowców.

Zaczął się to na widok dyżurnego kadeta, który stał na uboczu i od czasu do czasu przynaglał chłopców, wyskakujących sprężysto z łóżek, układających równie-tenko pościel.

ZE WSPOMNIEN PRZEDWOJENNEGO KADETA (...Prawdziwą plagą dla młodszych roczników był tak zwany „starszy kadet”, zniechęcony anioł-stróż, delegowany z wyższych kompanii. Jego zadaniem było jedno — zatruwać życie: zlewał wodą śle oczyszczone buty, rozrzucał w nocy wszystkie ubrania

Zdjęcia: Z. MAŁEK

i wychodził zaznaczając kłótnie: „Za dziesięć minut ma być wszystko poskładane”. I było. Bo w przeciwnym razie — karne ćwiczenia gimnastyczne, „śabka”, „kaczy chód” i inne szatańskie wymysły...)

Pytania moje zdziwiły nieco oficera, który mnie oprowadzał.

— Czy kadet dyżurny wyznaczony jest z tej samej klasy?

— Oczywiście. Codziennie inny.

— Czy z racji swojej funkcji ma jakieś szczególne uprawnienia w stosunku do kolegów?

— Żadnych. Ma tylko szczególne obowiązki.

— A jeśli natrafi na wypadek łamania dyscypliny — jakie stosuje środki?

— Takie, jakie powinien zastosować rozsądny kolega wobec lekkomyślnego: tłumaczy, przekonuje...

W drodze na śniadanie oglądaliśmy gmach Korpusu. Szerokie, widne korytarze, czystościutkie klasy, wnętrza nie różniące się niczym od żadnej innej nowoczesnej szkoły. Mijały nas dziesiątki chłopców w codziennych drelach — zdrowych, rozemnianych, swobodnych.

Wysłuchałem po drodze rozmowy oficera z kadetem. Nie pamiętam już treści, pamiętam ton. Chłopiec stał wyprostowany jak struna, ale mówił naturalnie, bez patosu i wykrzykiwania, bez załęknięcia. Oficer był chyba niewiele starszy od swego wychowanka. Łączyło ich poza tym pewne podobieństwo: obaj chłopcy synowie, mieli wesołe twarze, szczere, jasne oczy. Rozmawiali jak równy z równym; tylko w głosie oficera brzmiała nuta autorytetu, płynąca z większego doświadczenia.

Nie będę opisywał śniadania: zapewniam, że odbyło się w najzupełniejszym porządku i zadowoliło w całej pełni nienajgorsze apetyty chłopców. Nie będę też zatrzymywał się nad wykładami przedmiotów ogólnokształcących — nie różnią się niczym od podobnych lekcji w każdej dobrej szkole średniej. Widok godny wzmiątki — to dopiero musztra, jedno z obowiązkowych zajęć wojskowych.

Na rozległym dziedzińcu kompania ćwiczy chwyt bronią. Oficer rzuca krótkie komendy i granatowy szereg przekształca się w dwuszerę, w czworobok, wykonuje zwroty szybko, bezbłędnie. Zmieniają pozycje karabiny i bagnety, rytmicznie i tak idealnie równo, że nawet aparat fotograficzny nie uchwyci żadnych odchyśleń. Kompania tworzy jedną żywą istotę, sprawną, sprężystą.

A obok koledzy ćwiczących, którzy sami przed godziną byli kompanią-monolitem, grają w piłkę, spacerują grupkami po dwóch, po trzech, śmieją się, żartują, niby uczniowie najzwyczajniejszej, „cywilnej” szkoły.

ZE WSPOMNIEN PRZEDWOJENNEGO KADETA (...Kiedy czasem w domu skarżyłem się na ten cały bezsens koszarowego drylu, odpowiadano nam: to jest szkoła wojskowa, to jest dyscyplina, tak było i tak być musi. Żołnierz nie powinien myśleć, tylko spełniać rozkazy. — Żyłaliśmy więc gorzkie pigułki i marzyliśmy o czasach, kiedy sami będziemy rozkazywać. A przede wszystkim marzyliśmy o wojnie: wtedy człowiek będzie mógł dopiero w pełni się wyżyć, stanie przed nim otworem droga awansu...)

Jak się to dzieje, jakimże sposobem zaszczepiono Walterowcom to wspaniałe poczucie dyscypliny, tę żołnierską postawę, skoro nigdzie w toku codziennych zajęć nie występuje żaden ślad drylu, terroru ze strony przełożonych, czy jakichś innych metod z arsenału kapitalistycznego wojska?

Krótką pogawędkę z kadetem Tadeuszem Czarnockim wiele mi wyjaśniła. Ma 18 lat, jest już w 11-ej, a więc najwyższej



Różnica wzrostu nie osłabia przyjaźni; Lisowski i Wargin wiedzą o tym najlepiej.



Szkoła posiada doskonale wyposażone pracownie (na zdjęciu), sale gimnastyczne, pomieszczenia dla orkiestry, baletu, bibliotekę, a nawet laboratorium fotograficzne.



Jakżeż przyjemnie dostać list od najbliższych! Jeszcze dziś można odpisać.



Pobudka! Chłopcy sprężysto wyskakują z łóżek. Za chwilę pościel zastana będzie równieńko, a kadeci, starannie ubrani, stawiają się do zbiórki. Zacznie się dzień pracy.



— Halo, czy to garaż? Przygotujcie samochody na niedzielę, jedziemy pracować do PGR-u. — Kadet Tadeusz Czarnocki wzorowo pełni funkcję łącznika oficera dyżurnego

klasie. Okrągła, jeszcze dziecinna buzia, spojrzenie zaś twarde, zdecydowane. Można go sobie wyobrazić jak stawia kleksy w zeszycie, a równie dobrze — jak dowodzi kompanią.

Rozmawialiśmy o jego ulubionej książce — „Szosie Wołokołamskiej”. Rozumiał doskonale myśli i intencje dowódcy, który w obliczu starcia z groźnym wrogiem tak szkoli swoich żołnierzy, aby pojęli, iż wykonanie rozkazu to obowiązek, święty, ale nie ślepy, że każde nawet najdrobniejsze zarządzenie jest przemyślane i celowe, że



szcych z wiadomościami o tym wszystkim co się dzieje i donieść o swych postępach w nauce.

zmierza w ostatecznej konsekwencji do jednego — do skutecznej obrony ojczyzny przed najeźdźcą.

Lecz przykłady z książek, z pogadanek politycznych — to chyba jeszcze nie wszystko. Szukałem czegoś więcej i znalazłem w jego życiorysie.

Ojca stracił w roku 1936. Podczas strajku na Poczcie Głównej policja wystąpiła z „energiczną akcją”, w której wyniku z szeregów KPP ubył jeden aktywny bojownik, a na świecie przybyła jedna sierota.

Matka nie chciała podczas powstania wyjść z Warszawy, pilnowała swego lichego dobytku. Problem ten załatwił faszysta ukraiński jednym wystrzałem. Tadeusz został sam. W fabryce im. Świerczewskiego uczył się zawodu. Kiedy dowiedział się o Korpusie Kadetów, postarał się o przyjęcie. Uczy się dzisiaj, rozwija się, za rok wstąpi na Wojskową Akademię Techniczną. Zostanie inżynierem wojskowym. Jakie losy przypadłyby mu w udziale, gdyby nie opieka ludowej ojczyzny? Dała mu wszystko. Żąda w zamian wierności, pilności w nauce, gotowości do jej obrony.

Czy Tadeusz Czarnocki będzie przodującym oficerem? Zdaje się, że nie ma najmniejszej wątpliwości. Będzie, mimo że nikt nie próbuje „hartować jego duszy” przy pomocy koszarowego drylu. Będzie, bo jego miłość ojczyzny jest teraz równie silna, jak świadoma.

ZE WSPOMNIEN PRZEDWOJENNEGO KADETA (...Do obu Korpusów, we Lwowie i w Rawiczu, dostał się mogli tylko wybrańcy losu. Inna rzecz, że kierownictwo skutecznie losowi pomagało. Pamiętam egzamin wstępny: kandydatów podzielono na kilka grup, przy czym w pierwszej znaleźli się daniomym trafem sami synowie generałów, w drugiej — pułkowników i majorów, w trzeciej — oficerów niższych stopni i tak dalej, aż do „intruzów”, których ojcowie byli osadnikami wojskowymi. Następnie tak się działo, że pierwsza grupa dostała najłatwiejsze tematy, druga już mniej łatwe, trzecia całkiem trudne... Przystąpił 39 rok i klasa. Większość z nas znalazła się w cywilu. Wtedy dopiero okazało się, że poza dosyć staromodną musztrą nic właściwie nie umiemy. Nie byliśmy przygotowani do życia...)

Dokończenie na str. 21



Codziennie o 6 rano przed pomnikiem gen. Świerczewskiego rozlegają się dźwięki pobudki. Niezlomny Walter jest patronem tej szkoły, wspaniałym wzorem do naśladowania

Czasem na schodach może powstać „korek”: każdy chce być pierwszy na placu ćwiczeń...



DZIEWCZĘTA Z PŁÓCIENNEJ WIOSKI



W NIEDZIELNE popołudnie dziewczęta ustawiały, jak zwykle, na półce pod stołem kociołki, wkładały do każdego resztę swojej racji chlebowej i potem następowały przygotowania. Małe lusterko krążyło z rąk do rąk, krótkie włosy nie chciały układać się pod beretem. Beret od deszczu i słońca bardziej podobny był do niewielkiego cebrzyka niż do nakrycia głowy, co w to popołudnie było rzeczą szczególnie dokuczliwą. Potem następowało wielkie czyszczenie butów, czyli długie pocieranie starą onucą opornej i szorstkiej skóry, aby miała czernić i połysk między przez nią nie przeczuwane. Po jakimś czasie guziki były zabezpieczone od oberwania się na cały następny tydzień, biała wypustka przy kołnierzu szła równiutko, niby wycięta z papieru, a szerokie cholewy butów kłoniły bez jednej skazy, jak lufa armatnia u dobrego artylerzysty. Potem żołnierze obciągali mundury na swych żeńskich figurach — i w tej chwili z polany, ukrytej za cienką ścianą sosn, przybiegły rozkołysane takty walc.

Dziewczęta wychodziły z namiotów grupkami, dużo siły woli wkładając w to, aby w wielkim pędzie nie wpaść od razu na polanę, tak szkoda im było każdej sekundy.

Miedzy drzewami wznosił się drewniany pomost otoczony barierką, podobny do ringu bokserkiego, tylko dużo większy. Naokoło pełno już było żołnierzy z sąsiednich jednostek. Jak każdej niedzieli, krążyli wyciekając, patrząc na kilka odważnych par i na dziewczęta, wychodzące spomiędzy drzew. Grupa Joanny przystanęła niedaleko orkiestry. Dziewczęta rozmawiały ze sobą zawzięcie, aby nikt nie pomyślał, że bardzo czekają na zaproszenie do tańca. Nieważną rozmowę przerwało im zresztą w równie nieważnym miejscu i potem widziały już tylko nawzajem swe twarze nad męskimi ramionami, przysypane włosami w tanecznym wirowaniu.



...Ujrzała przed sobą Zbyszka. Patrzył na nią ze znajomym uśmiechem...

Po długim akordzie orkiestra umilkła. Ziemia pod nogami Joanny kołysała się jak pokład okrętu, sosny kłaniały się słońcu, rysy ludzkie naokoło wydawały się jak odbite w nierównym lustrze. Schodziła z pomostu, łapiąc oddech i równowagę. W tańcu zapominała o wszystkim poza rytmem i muzyką, uderzenia serca rosły w niej nie z wysiłku, lecz z wielkiej radości. Aż oczy przymknęła, jak kot na słońcu.

Gdy je otworzyła na już uspokojony świat, wtedy ujrzała przed sobą Zbyszka. Patrzył na nią ze znajomym uśmiechem. Tym samym jak wówczas, kiedy na wakacjach wziął do ręki małego, białego królika, przytknął jej pod brodę

i powiedział: „Żywa broszka”. Królik był ciepły i drżący. Przytuliła zwierzątko do policzka i jej też drżały ręce.

Patrzyła na tę odnalezioną niespodziewanie twarz. Uśmiech Zbyszka był nieznaczący, odsłaniał mu tylko końce zębów, ale załamywał się w oczach jak blask w dwóch soczewkach.

— Słuchaj, co za spotkanie! Nie wiedziałem wcale, że jesteś w wojsku!

— Ja też nie wiedziałam, że jesteś...

I zupełnie nie wiadomo, co powiedzieć jeszcze. Stali w tłumie, potrącani przez ciskających się do tańca. Zbyszek powiedział: „Wyjdźmy stąd”. Dopiero, kiedy stanęli w obszernym, przedwieczornym cieniu idącym od słońca i drzew — wtedy dopiero Joanna zobaczyła, że Zbyszek nosi mundur taki jak Michałina. Ujrzał jej spojrzenie, z uśmiechem czekał na pytanie:

— Zrobili z ciebie oficera? Słuchaj, jak oni to robią, że po paru tygodniach wraca znajoma z wagonu, przebrana za oficera, ale bez gwiazdek na ramionach, i trzeba ją słuchać, bo ma nas wychowywać.

— Jak to robią? Zwyczajnie. Wzięto nas na kurs. Trochę z nas zrobiono tych oficerów w tempie przyspieszonym, ale zresztą sami chcieliśmy. Ten typ wojska nie sprzyja bezwonnemu działaniu się przeznaczenia, poza naszą wolą — rzekł, nie zmieniając uśmiechu, ale oczy patrzyły poważnie. — Oficerowie bez stopnia to jeden z wynalazków naszego wojska, bo wielki jest brak kadr wychowawczych. Dlatego legniemy się na miesięcznych kursach jak kurczęta w inkubatorze.

— I dlatego, że nie mamy „kadr” — jak mówisz — dlatego dowódcą naszej kompanii jest Rosjanka? — Joanna chciała go zaskoczyć, chciała ukarać za taką naganę w spojrzeniu. Ale on zgodził się od razu:

— Właśnie dlatego. Dlatego, że nasi oficerowie wybrali „piaski Iranu”, jak pewnie wam mówią na pogadankach oświatowych. Ale powiem ci w zaufaniu, że nawet gdyby nie uciekli, to i tak niewiele byłoby z nich pożytku w naszym wojsku.

— Dlaczego? Czy uważasz, że nasi oficerowie nie potrafią się bić? Nie rozumiem, jak możesz... — Joanna była pewna, że Zbyszek nic nie wie o jej sprawie, dlatego mogła się zdobyć na spokojny głos. Ale jej przerwał:

— Byliby niedouczeni, trochę jak z dziewiętnastego wieku. Bo w Armii Czerwonej, od której się uczymy, dawno już kompania piechoty nie kręci się koło jednego RKM-u, a dział nie ciągną konie, jak to było w naszym mieście na defiladach.

Joanna milczała, końcem buta rozgrzebując rzadką w cieniu trawę. Odezwała się wreszcie, żeby nie milczeć dłużej i odnaleźć w nim radość z chwili spotkania:

— Mam nowego zastępcę dowódcy kompanii. Z takich jak ty. — I żeby znów nie pomyślał, że chce go dotknąć, rzekła nieszczerze: — Zachowuje się przyzwoicie, wiesz. Wcale nie zadziera nosa. Może ją znasz ze szkoły. Nazywa się Kasprzak. Michałina Kasprzak.

— Było parę dziewcząt z „bab-batu”. Oczywiście, że znam Michałinę. Niezła dziewczyna. Szczera i myśli odważnie. Potrafiła spierać się z wykładowcą, człowiekiem bądź co bądź oblatanym w zagadnieniach teoretycznych. Powtarzała często, że człowiek jest najciekawszą nauką do poznania. Zna życie, bo nie

zawsze szło jej gładko na ukraińskiej wsi, zdaje się, że gdzieś pod Tarnopolem.

Muzyka milkła i znów wybuchała. Na estradzie było rojnie i jednokolorowo od żołnierskich mundurów tańczących.

Deski pomostu trzeszczały od hałasuwej polki. Tancerze kręcili się koło własnych, niewidzialnych osi jak baki-



zabawki. Łapali oddechy szeroko otwierając usta w zaczerwienionych twarzach, przytupywali, aż dudniły deski, wciągali głowy w ramiona, łapiąc wysuwającą się z rąk tancerkę, i parli naprzód w zawrotnym kołowrocie. Joanna czuła zamęt w głowie od samego patrzenia na to taneczne szaleństwo.

Orkiestra, porwana rytmem, dmuchała w instrumenty, muzykantom wydymały się policzki i oczy wychodziły z powiek od wysiłku. Wybijali takt butami o murawę, pokrzykiwali „ojra, ojra...” i znów dmuchali zapamiętale, tak samo półprzytomni jak tamci na pomostach. Słońce tymczasem stanęło ukośnie, rzuciło poświadczenia pęki światła przez ciemną już od bliskiego wieczoru, nieśmiertelną zieleni. Joanna czuła dokładnie uchodzące chwile, marnotrawione na niemiłe jej sprawy związane z Michałiną. Zbyszek też znów dojrzał niedzielne popołudnie. Powiedział:

— Chodźmy zatańczyć. Znamy się kopę lat i nigdy nie było okazji. Mam zaszczyt prosić panią do tańca w moją pierwszą, oficerską niedzielę. — Skłonił się z przesadą, stuknął obcasami. Poprowadził ją do furtki w barierze, gdzie był ścisł jak przy wejściu do tramwaju.

Weszli między pary. Joanna widziała Agatę zanoszącą się od śmiechu, widocznie ze słów partnera, który pochylał ku niej głowę i niemiłosiernie marszczył nos. Agata nie traciła ani minuty z tych godzin. Na pewno nie biedziła się nad sprawą gwiazdek nowoupięconych oficerów, bo przyjmowała świat z prostotą i ufnością. Przesuwali się koło nich tancerze niby ogniwa łańcucha, połączone rytmem i bliskością. W pewnej chwili dojrzała jakby wychyloną z nurtu rzeki twarz Celinki i jej wielką chłopską rękę, którą mocno trzymała jakiegoś chudego plutonowego. Twarz Celinki zanurzyła się z powrotem i Joanna nie wiedziała, o co teraz zaczepić wzrok, aby nie patrzeć na twarz przy swej twarzy.

Tańczyli przechylani melodią. Ramię Zbyszka pachniało tytoniem, czuła na plecach jego ciepłe dłonie. Miał widocznie taki zwyczaj, że w tańcu nie trzy-

mał partnerki za rękę. Bo to nic nie mogło znaczyć, że teraz właściwie ją obejmował. Tańczył chroniąc Joannę od zderzeń, śpiewał z muzyką nie patrząc na nią: „Szo ty apustila glaza, razwie ja nieprawdu skaza...” — i wcale nie wiedział, że każdym poruszeniem ust, kolorem oczu, zmarszczeniem czoła, że każdą minutą obecności rozdrapywał w niej tamto bolesne miejsce.

Bo razem ze spotkaniem Zbyszka wróciła znów jej troska. Dziwna troska, od której szła chęć do życia i niepokój serca, stary jak spotkanie dwojga ludzi na ziemi.

Brodaty kapitan - dyrygent ostatni raz machnął pałeczką, w ucichłym powietrzu podniósł się wieczorny wiatr, który przed snem cesał sosny, z poszarzałych namiotów szło wołanie zbiorczy na kolację. Kończyła się niedziela. Wracały myśli o sprawach sześću dni, z których każdy przejdzie wolno, a szybko miną wszystkie razem. A potem, jeszcze przez kilka niedziel, znów przyjdzie roztańczone popołudnie i znów wyjdą dziewczęta na polanę.

Płynął czas pod wysokim i słonecznym niebem, pod wysokimi sosnami. Dnie były upalne i piękne, trochę jednostajne w swej urodzie. Tylko wieczory przynosiły chłód znad rzeki, rozlewającej się wśród piaszczystych pagórków. To była Oka, o której śpiewano w żołnierskich piosenkach, że jest „jak Wisła szeroka, jak Wisła głęboka”.

Joanna patrzyła na siebie — żołnierza. Patrzyła jakby z zewnątrz, nie wchodząc w rzeczy, które działy się w batalionie i w niej samej. Była jak widz na trybunie, który nie lubi sportu: nie sprzyjała, ani też nienawidziła żadnej ze stron. Czekala na koniec rozgrywki. Lecz teraz zauważyła, że rola jednostki w drużynie nie wzbudza w niej buntu takiego, na jaki czekała. Więcej nawet: regularność czynności, które zamykał w sobie każdy dzień, zmęczenie mięśni, ciągle jeszcze trudne do przemożenia — nie pozwalały jej na ucieczkę do nie-dobrych myśli. Trzeba było się trzymać o lufę pepeszy, żeby była lśniąca jak mały stalowy tunel, trzeba było uważać, żeby źle zawinięte onuce nie otarły rozgrzanych w marszu stóp. Kiedyś pochwała dowódcy plutonu za dobre utrzymanie broni wywołała na jej policzkach rumieniec, który nie zależał od jej woli.

W SWYM gabinecie w gmachu Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy przy Wilhelmstrasse 102 w Berlinie, SS-Sturmbannführer Wolff przechadzał się nerwowym krokiem, czekając na codzienny komunikat radiowy o sytuacji na frontach.

Spojrzał na zegarek i włączył wielkiego „Telefunkena”, po czym stanął wyczekiwaniu przed kolorowymi mapami wszystkich („Ach, trochę zbyt licznych” — myślał często Wolff) frontów, na których wojowała Tysiącletnia Rzesza.

„Naczelne Dowództwo Sił Zbrojnych podaje do wiadomości, że w dniu 18 maja 1944 roku...” W miarę jak z głośnika płynęły słowa komunikatu, zły humor gestapowca trochę się poprawiał... „Na froncie wschodnim nie doszło do żadnych większych działań wojennych oprócz zaczętych walk lokalnych nad dolnym Dniestrem i u podnóża Karpat. Silne formacje ciekłych niemieckich bombowców dokonały ubiegłej nocy koncentrycznego ataku na tereny dworcowe w Smoleńsku”.

Czyżby istotnie udało się opanować sytuację? Czyżby po ciągach wziętych pod Sewastopol wojaka Fuehrera istotnie zdolały się przegrupować? Czyżby dr Goebbels miał rację stawiając strategiczne korzyści „planowego oderwania się od nieprzyjaciela”? A może istotnie jeszcze wszystko nie jest stracone? Może będzie realizowana obietnica dana akurat przed trzema laty — w maju 1941 roku — przez nuncjusza papieskiego Orsenigo ministrowi spraw zagranicznych von Ribbentropowi? Przecież msgr Orsenigo powiedział wtedy zupełnie wyraźnie: „Zapewne damy więcej niż samo poparcie moralne”.

Gestapowiec powrócił do porzuconych na biurku papierów i studiował je uważnie. „No, nareszcie jakiś rozsądny Polak — rzekł do siebie — zupełnie co innego niż ci wszyscy polscy bandyci, których mamy tu codziennie! Oby więcej było takich...”

Po godzinie dalszej pracy już był zorientowany, do czego może się przydać człowiek, którego kartotekę studiował. Kazał sobie przysłać maszynistkę. Tegoż wieczora z lotniska Tempelhoff wystartował samolot, wiozący kuriera do Paryża.

PROFESJA KS. KWIATKOWSKIEGO

SS-Sturmbannführer Wolff zawiadomił w liście dowódcę policji bezpieczeństwa Rzeszy i SD w Belgii i Pół-

TAJNE SPRAWY TAJNEGO SZAMBELANA

nocnej Francji, urzędującego w Paryżu, iż polski ksiądz Antoni Kwiatkowski jest pracownikiem placówki podległej Ministerstwu Propagandy Rzeszy, która współpracuje z oddziałem 6 Ministerstwa w dziedzinie służby informacyjnej.

„Kwiatkowski — pisał dalej Wolff — na zlecenie Watykanu kontynuuje działalność antykomunistyczną i zamiera wygłosić szereg odczytów antybolszewickich dla francuskich kół kościelnych oraz wydać w języku francuskim i rozpowszechnić swoją broszurę pt. „Cierpienia kościoła prawosławnego w ZSRR”. Oprócz tego przewidziana jest jego współpraca z dr Badallem z Centrali Filmowej Wschód, który pracuje we Francji nad zrealizowaniem antybolszewickiego filmu religijnego. Z naszego zlecenia Kwiatkowski powinien złożyć wizyty wszystkim wybitnym osobistościom francuskim kół kościelnych i przeprowadzić z nimi rozmowy polityczne w sensie antybolszewickim. Treść tych rozmów będzie wykorzystana wyłącznie dla oddziału 6. Przed jego ewentualną podróżą do Francji zostanie Kwiatkowskiemu zwrócona uwaga na odpowiednie aktualne zagadnienia”.

Równocześnie adnotacja na liście poleca przekazanie go „do rejestracji głównej dla założenia aktu personalnego „Kwiatkowski”.

JAK CIĘ WIDZĄ — TAK CIĘ PISZĄ!

Otwórzmy tę kartotekę i obejrzymy sobie różne dokumenty — kamienie milowe na drodze zdrady narodowej.

Cofamy wskazówki zegara. Kalendarz pokazuje 15 listopada 1929 roku. Na dworze jest przenikliwy ziąb, kropie deszczu padają na mazowiecką ziemię, spowitą w mrok jesiennego wieczoru — ale na plebanii w Wiśniewie (pocztą Henryków Warszawski) jest ciepło i przytulnie; w piecach buszuje wesoło ogień i lampa na stole rzuca jasne światło na sylwetkę w sutannie, pochyloną nad biurkiem. Dewotkom, które tego wieczora zaglądały na plebanie, aby pogadać z księdzem, gospodyni odpowiadała tajemniczo: „Nie, nie można — ksiądz pisze ważne papiery, to pilne, to ma iść do Warszawy!”

Owego jesiennego wieczoru, powoli i systematycznie odtwarzał dzieje 39 lat swego życia magister teologii, szambelan tajny Jego Świętobliwości, ksiądz Antoni Kwiatkowski. Starał się wtedy o „Oznakę Pamięnikową Więźniów Ideowych”. W zyciorysie wspominał z rozrzewnieniem te czasy, kiedy w roku 1917 organizował 2 dywizję I korpusu Dowbora-Muśnickiego w Zubowie, której też następnie był kapelanem. Pisał z dumą o swym pobycie na Ukrainie i organizowanej tam dywersji antyradzieckiej. Skrzywił się niemile, wspominając charkowską wyspę. Imiennik jego — Kwiatkowski Kazimierz, który był konsulem w Charkowie, tak się wystraszył nadiągającej Armii Czerwonej, że uciekając z miasta porzucił w pośpiechu całe tajne archiwum konsularne, którego „bohaterem” był ks. Kwiatkowski Antoni. Długo się zastanawiał nad ładnym sformułowaniem tej nieładnej sprawy tajny szambelan Jego Świętobliwości, aż wreszcie w punkcie 16 swego zyciorysu napisał: „Bolszewicy wytoczyli mi 11 spraw o charakterze wy-

bitnie politycznym — bowiem posiadał pewne różne dane w swoich rękach”.

Wymieniony, wraca do Polski w maju 1921 roku, aby już w następnym miesiącu wyjechać do... ZSRR!!! Tym razem występuje jako „rzeczoznawca przy polskiej delegacji do wykonania Traktatu Ryskiego”.

RZECZOZNAWCA „WYRÓWNYWANIA”

Załącznik wyjaśnia bliżej działalność „sługi bożego” w ZSRR.

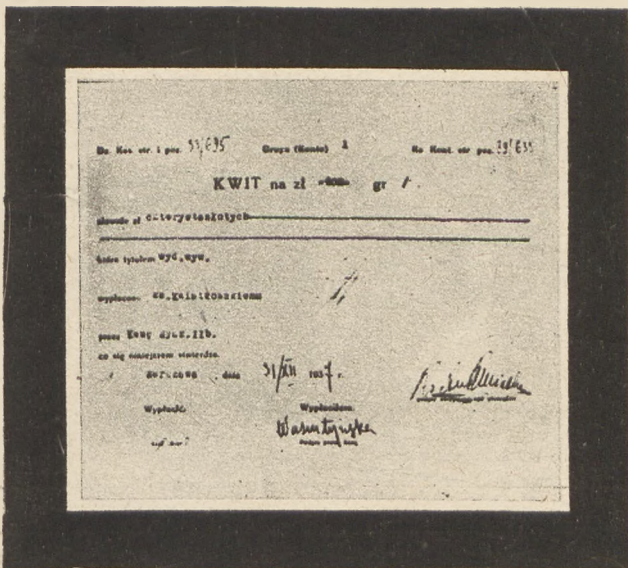
„Mając możliwość wolnego ruchu, wolny czas od zajęć delegacyjnych poświęcił „wyrównywaniu” przerwanych przez czerewiczajkę dawniejszych spraw politycznych oraz zebrał olbrzymią i systematyczną kolekcję wydawnictw bolszewickich, służących za podwalinę do założenia Instytutu Naukowego Badania Komunizmu”.

Nie będzie przesadą stwierdzenie, że ks. Kwiatkowski zbierał sobie wtedy posag, który miał mu zjednać w Watykanie i w Berlinie zaszczyty. Gestapo w zyciorysie ks. Kwiatkowskiego sformułowało to tak: „Pobyt w Moskwie do 1925. Zbieranie materiałów komunistycznych. Przekazanie tychże Piusowi XI. Za to podniesienie do godności pralata”.

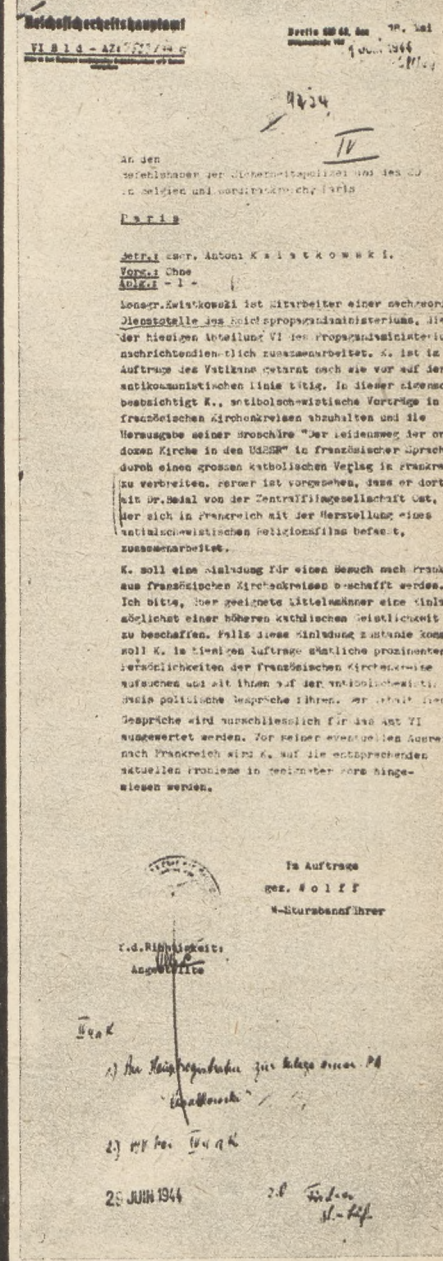
28 czerwca roku 1944 do Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy w Berlinie wpłynęły fotokopie listów do Kwiatkowskiego, które moglibyśmy nazwać „dyplomami uznania”. Jeden z nich nosi podpis Achillesa Rattiego, ówczesnego nuncjusza w Polsce, a późniejszego papieża Piusa XI.

„Składam Ci na zlecenie i w imieniu papieża serdeczne podziękowania za nadzwyczajny podarunek, który ofiarowałeś Jego Świętobliwości — pisał Ratti — papież jest Ci zań bardzo wdzięczny. Nie zaniedbuj rozpoczętej pracy, ale kontynuuj ją energicznie. Wszystkie koszty przy okazji chętnie pokryję, jako że jestem do tego upoważniony”.

„Kontynuując energicznie” tę „rozpoczętą pracę” ks. Kwiatkowski nie chciał zbyt nadwyreżać watykańskiej szkatuły, która miała mu pokryć „wszystkie koszty”. Zgłasza się więc co miesiąc do II oddziału Sztabu Głównego, gdzie kasjerka Wasiutyńska wystawiała przekazy do kasy na zł 400 (słownie złotych czterysta), kwitowane zamasztywnym podpisem ks. Kwiatkowskiego. Inne pokwitowanie jest rozliczeniem z kosztów wywiadowczej podróży dla II oddziału na trasie: „Warszawa — Praga — Ołomuniec — Spiess — Nova-Ves — Bratysława — Wiedeń — Berlin — Warszawa”, którą ks. Kwiatkowski — jak pisze 17 października 1936 roku — przebył II klasą pociągu pośpiesznego.



Pokwitowanie na 400 zł, wypłacane co miesiąc przez sanacyjną „dwójkę” ks. Kwiatkowskiemu na „wydatki wywiadowcze”. Z podróży zagranicznych rozliczał się osobno



Pismo SS-Sturmbannführera Wolffa omawiane obszernie w naszym artykule

W zestawieniu tym jest m. in. pozycja: „specjalna suma bez wylizania się przeznaczona na akcję wśród duchowieństwa — 200 zł”.

SŁUGA DWÓCH PANÓW

Talenty tego „duchownego” zjednały mu już przed wojną konkretne zamówienia z Berlina, gdzie — jak to mile wspomina gestapo — dostarczył materiały do antyradzieckiej wystawy urządzonej przez dr Goebbelsa na rogu Friedrichstrasse i Leipzigerstrasse.

Nadchodzi II wojna światowa — i berlińscy zleceniodawcy ks. Kwiatkowskiego podbijają Polskę. W zacisznej bibliotece Watykanu widzimy teraz taj-

nego szambelana Jego Świętobliwości, jak śleczy nad pracą naukową. Może pisze o losie Kościoła w okupowanej przez hitlerowców Polsce? Może dręczy go los tysięcy księży i zakonników katolickich, którzy dochowali wierności swemu krajowi i zostali za to wymordowani przez gestapo? Zajrzyjmy znowu do „Aktu Personalnego i „Kwiatkowski”, a znajdziemy tam zwięzłą, ale wymowną informację: „Zakończenie zbierania materiału o dziejach, strategii, taktyce i psychosferycznym rozpowszechnianiu komunizmu”. Praca ta wzruszyła mile serca papieża, który 13 sierpnia 1941 roku,

Zyciorys tajnego szambelana Jego Świętobliwości Piusa XI zestawiony przez tajną policję Jego Ekszellencji Adolfa Hitlera.

FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZA

CZTERY MILIONY EGZEMPLARZY

Pracownicy Zakładów im. J. Stalina w Poznaniu coraz częściej korzystają z literatury technicznej, zwłaszcza radzieckiej, która pomaga im opanowywać nowe, przodujące metody pracy. Z biblioteki technicznej przy Zakładach, która dysponuje księgozbiorem liczącym ponad 9 tysięcy tomów, korzystają również w szerokim zakresie racjonalizatorzy produkcji. Leon Słachowiak, Teofil Skrzyński i Bogdan Nowacki, odznaczeni Państwową Odznaką Racjonalizatora Produkcji, swoje sukcesy zawdzięczają w dużej mierze technicznej literaturze radzieckiej. Wiele wskazówek i informacji przy opracowywaniu kilkudziesięciu projektów racjonalizatorskich znaleźli w tej literaturze również Stanisław Jędrzyka i Stanisław Nowicki.

rów Związku Radzieckiego są bogate i wszechstronne i dlatego uważam, że każdy robotnik powinien się z nimi zapoznać.

Kierownictwo biblioteki technicznej ZISPO dokłada starań, aby uprzystępniać i zachęcić do czytania literatury technicznej jak największą liczbę pracowników Zakładów. Organizuje więc liczne



Narada dyskusyjna nad książką inż. A. Tomaszewskiego, a udziałem autora.

konkursy z nagrodami dla najpilniejszych czytelników. Wystawy książek technicznych i narady dyskusyjne, często z udziałem autorów.

O dużym, stale wzrastającym zainteresowaniu literaturą techniczną, świadczy ruch wydawniczy. W ostatnich trzech latach wypuszczono z druku ponad tysiąc różnych dzieł technicznych w nakładzie 4 miliony egzemplarzy, a więc znacznie więcej niż w okresie całego międzywojennego dwudziestolecia.

W planach przewidziany jest dalszy rozwój ruchu wydawniczego w tej dziedzinie, z uwzględnieniem wszystkich specjalności.

L. Kraśny, Poznań

DOM KULTURY W OSIEDLU PAFAWAGU



Po wykończeniu i założeniu ogrodu, Dom Kultury w Nowym Dworze będzie naprawdę wygodny i ładny.

Siedmiotysięczne osiedle pracowników Pafawag w Nowym Dworze pod Wrocławiem, położone wśród zieleni ogródków — stanowi właściwie małe miasteczko. Sieć sklepów, punkty usługowe i szkoła, niewielka odległość od fabryki i dobra komunikacja, stwarzają mieszkańcom osiedla dogodne warunki życiowe.

Jest tu również niedawno wybudowany Dom Kultury, który zapewni mieszkańcom rozrywkę kulturalną na miejscu. Dawniej obejście filmu, przedstawienia teatralne, czy imprezy sportowe wymagały długiej, przeszło godzinnej podróży do Wrocławia.

Budynek nie jest jeszcze całkowicie wykończony, ale w sali widowiskowej, mieszczącej 600 osób, odbywają się już kilkakrotnie w tygodniu imprezy artystyczne. Scena Domu Kultury, obok zespołów amatorskich, gości także i ekipy wrocławskiego Teatru Polskiego, który objął patronat nad Pafawagiem i jego osiedlem. Opiekę kulturalno-oświatową nad Nowym Dworem roztoczyło również i Muzeum Śląskie. W świeżo wykończonym hallu urządzono wystawę barwnych reprodukcji

wybitniejszych dzieł współczesnego malarstwa polskiego, a w jesieni, gdy skończy się okres wczasów i wycieczek — projektowany jest cykl odczytów z przezroczkami, które ukazać bogaty dorobek kulturalny naszego kraju i piękno historycznych zabytków Śląska.

Oddzielna sala przeznaczona jest na ćwiczenia amatorskiego zespołu Pafawagu: chóru, orkiestry i baletu.

Ale na tym nie koniec. Wkrótce w Domu Kultury w Nowym Dworze będą się mieścić kluby racjonalizatorów i kółka samokształceniowe, bogato zaopatrzone biblioteka, własny radiowęzeł. Dom otrzyma wkrótce wygodne sprzęty i liczne urządzenia.

O tych planach niedalekiej przyszłości z zapałem mówi kierownik Domu, ob. Rajca: „Założymy tu jeszcze ogród i boiska sportowe, a w miarę potrzeby będziemy dobudowywać dalsze skrzydła gmachu”.

Dom Kultury w Nowym Dworze będzie naprawdę wygodny i piękny i stanie się niezastąpionym ośrodkiem życia kulturalnego i oświatowego mieszkańców Nowego Dworu.

A. Wądołowska, Wrocław



Studenty ekipy naukowej - badawczej zbierają dane do badań u ob. J. Karceszka w Żelechlinie

„Wielosobowa ekipa łódzkiej Akademii Medycznej przeprowadza badania w Żelechlinie w powiecie rawsko-mazowieckim. W skład zespołu weszli lekarze medycyny, stomatologii, magistrowie farmacji, inżynierowie higieny sanitarnej i inni specjaliści oraz 30 studentów.

Ekipa podzieliła się na dwie grupy. Jedna zajmowała się niesieniem doraźnej pomocy ludności gminy, druga —

przeprowadzała w kilku zespołach badania naukowe, obejmujące wszystko, co może mieć wpływ na zdrowotność ludności wiejskiej.

W urzędowym specjalnie ośrodku zdrowia, w działach interny, pediatrii, chirurgii, stomatologii i innych przyjmowano do 80 pacjentów dziennie.

Zespół pediatryczny zbadał wszechstronnie wszystkie dzieci w gminie do lat 7.

Badaniom podlegały też warunki higieniczne i komunalne zabudowań gospodarczych i domów mieszkalnych, studnie i wartość wody do picia, sposób i jakość odżywiania, oczywiście z podziałem na grupy według stanu majątkowego badanych.

Początkowo członkowie ekipy musieli walczyć z przesadami i uprzedzeniami chłopów, którzy jeszcze za czasów przedwojennych, kiedy to odwiedził lekarza kosztowały jednego cielaka a na lekarstwa szła nieraz cała krowa — przyzywali wzywać doktora dopiero po wizycie księdza. A jeśli się już leczyli, to tylko u znachorów, bo ci brali taniej, a ich lekarstwa kosztowały grosze.

Dziś kowal, który rwał zęby kleszczami do kucia koni, po 5 zł od sztuki, stracił już swoich klientów. Matki przekonały się, że usunięcie ogni-

pióra wcale nie powoduje ślepoty u dzieci. Bojących zębów nie leczy się już kwasem solnym, który zżerał bez reszty nadające się jeszcze do zaopłombowania korony. Nie kąpie się już noworodków w gorącej wodzie, co było jedną z przyczyn nadmiernej śmiertelności niemowląt.

Studenti, w wolnych od zajęć chwilach, zapraszali wieczorami młodzież i starszych chłopów na tańce i pogadanki. Mieszkańcy wsi żywo interesowali się pracami ekipy, gdyż zrozumieli, że o wiele łatwiej jest leczyć i zapobiegać chorobom, jeśli zna się jej źródła.

Materiały zebrane przez ekipę Akademii Medycznej w gminie Żelechlin posłużą do opracowania metod leczenia dla wsi w całej Polsce.

B. Lesman, Łódź
Fot. E. Szarfharc



Wacek Bedyniak nie będzie już cierpieć na ból zębów. Leczy go bowiem w ambulatorium dentystycznym, zorganizowanym przez ekipę.

JUNACZKI ZWIEDZAJĄ WARSZAWĘ



Powszechna Organizacja „Służba Polsce” często organizuje wycieczki, w czasie których młodzież poznaje kraj i wielkie budowle socjalizmu.

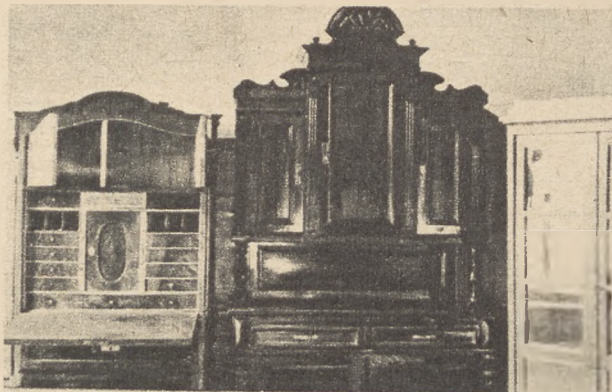
Ostatnio ochotniczek III tur-

związek jej piękno i urok.

Twarze junaczek oglądających z pl. Żamkowego Mariensztat mówią wyraźnie, że nowa Warszawa bardzo im się podoba.

T. Hudecki, Lublin

I STARZYNA JEST PRZYDATNA

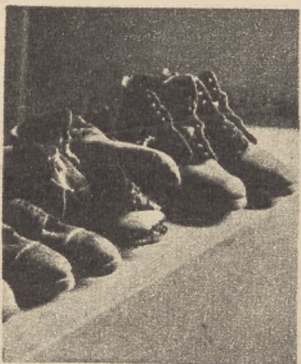


Trudno uwierzyć, że ta szafa i kredens powstały z polamanych i niezdających do użytku mebli.

W Grodzisku Mazowieckim istnieje wielobranżowa Pomocnicza Spółdzielnia Rzemieślnicza. Zrzesza ona 802 robotników i rzemieślników, prowadzi szereg działów, jak szewski, krawiecki, bielizniarski, ślusarski, produkując ponadto elementy prefabrykowane, baraki składowe, urządzenia szkolne, przyrządy chłodnicze, meble i inne. Ale nie to różni tę spółdzielnię od wielu innych.

Pomocnicza Spółdzielnia Rzemieślnicza w Grodzisku Maz. większość swojej produkcji opiera na materiałach i surowcach odpadkowych. Meble na przykład, stanowiące jeden z najważniejszych działów jej produkcji, wykonywane są całkowicie ze złomu meblowego; z polamanych i całkowicie zniszczonych sprzętów pokojowych i kuchennych. Z tego „złomu” powstają mocne, solidne, znacznie tańsze od nowych — meble, które przez wiele lat jeszcze będą służyć ludziom.

Drugi ciekawy dział pracy spółdzielni — to przeróbka starych butów, zakupionych od masowych użytkowników. Znoszone obuwie poddaje się dokładnym oględzinom i wszystkie części zniszczone zastępuje się nową skórą. Tak odnowione obuwie, może nie- zbyt piękne, ale bardzo trwa-



W środku buty przed „kuracją odmładzającą”, po bokach — już wyremontowane

łe i tanie, cieszy się dużym powodzeniem u nabywców. Popyt na nie przekracza wielokrotnie możliwości produkcyjne spółdzielni.

Ponadto spółdzielnia prowadzi 18 punktów usługowych, z czego 6 na wsi.

Przykład spółdzielni w Grodzisku Maz. powinien zachęcić do uruchomienia większej ilości tego typu wytwórni.

J. Krusz, Warszawa
Fot. W. Żdżarski



Mistrz krawiecki A. Olszewski uczy rzemiosła młodych pracowników Pomocniczej Spółdzielni Rzemieślniczej.

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

ARCHIWUM FOTOGRAFICZNE

Po okresie wczasów i wycieczek, po owocnych łowach fotograficznych, poświęćmy teraz kilka wieczorów jesiennych na uporządkowanie i przegląd naszych negatywów.

Kto nie ma zamiłowań i ambicji fotograficznych oddaje filmy do zakładu, a po otrzymaniu gotowych zdjęć, negatywy rzuca w kąt, lub niedbale składa do szuflady czy pudełka. Miłośnik fotografii, prawdziwy fotoamator wie, iż podstawa jego pracy jest negatyw. Dlatego też starannie i w porządku przechowuje swe filmy, posiada ich wykaz i opisy, dokładnie przegląda i analizuje wyniki swej pracy. Jak już pisaliśmy poprzednio, wielkie usługi oddaje przy tym systematycznie prowadzony dzienniczek zdjęć.

Jak przechowywać negatywy? — Kilsze szklane chowamy w pudełkach, układając je po dwie emulsją do wewnątrz. W rogu każdej kliszy, po stronie emulsji, wypisujemy atramentem lub tuszem kolejny numer. W specjalnym zeszycie, pełniącym rolę katalogu, każda klisza pod swoim numerem będzie miała zwieszony lecz dokładny opis zdjęcia. Na każdym pudełku wypisujemy numery klisz w nim złożonych.

Najlepszym wypróbowanym sposobem przechowywania filmów jest rozcinanie ich na krótsze odcinki, po kilka zdjęć. Przechowywanie całych taśm stwarza niebezpieczeństwo porwania delikatnej warstwy ochronnej po odwrotnej stronie emulsji. Kilkakrotnie, nieostrożne przewinięcie taśmy filmowej, spowodować może drobne rysy, które później przysporzą nam wiele żmudnej pracy przy ich retuszowaniu na pozytywie.

Filmy zwojowe rozmiarów 6 x 9 oraz mniejsze przechowujemy w kopertach, które możemy sporządzić sami z kalki kreślarskiej, lub zwykłego papieru kancelaryjnego. W tym celu dwa arkusze papieru rozmiarów 20 x 30 cm składamy przy brzegach z trzech stron, a następnie składamy na cztery części w „harmonijkę” równolegle do krótszego brzegu. Powstają w ten sposób cztery kopertki, do których wsuwamy odcinki (ok. 20 cm) naszego filmu. Do jednej przegródki zmieszczą się dwa negatywy 6 x 9, trzy 6 x 6 lub cztery 4,5 x 6. Na wierzchu koperty piszemy kolejny numer, a również pokrótce treść negatywu, datę.

Taśmę 35 mm dzielimy na odcinki po 6 zdjęć. Przechowujemy je w pojedynczych kopertkach, wykonanych bez sklejanja przez złożenie na 3 części arkusza papieru o rozmiarach 10,5 x 23 cm. Z arkusza papieru do maszyny otrzymamy w ten sposób 2 kopertki, odcinając z szerokości ok. 7 cm, a następnie rozcinając arkusz na pół. Do składania pasków przeciętego papieru na trzy części, użyjemy kawałka niepotrzebnego filmu (6 klatek) jako szablonu.

Na wierzchu kopertki, w jednym z rogów, wypisujemy atramentem kolejny numer. Na odwrocie możemy też nakleić odbitkę stykową z całego odcinka negatywu. Dokładny opis zdjęcia, jego treść, datę, miejscowość, dane techniczne wypisujemy wraz z numerem kopertki i numerem klatki na odwrotnej stronie naszego archiwalnego powiększenia. Rozmiar jego zależy od potrzeb i możliwości fotografującego, zalecane, lecz kosztowniejsze, są formaty większe od 6 x 9 cm. Minimum naszych założeń racjonalnego archiwum fotograficznego, stanowią kontrolne odbitki stykowe całych odcinków filmu.

GORĄCA WIEŚ AMBINANITELO



POWSTAJE przedwieczorny wietrzyk i nagle przynosi nam obrzydliwy zapach gnijącego mięsa. Niedaleko naszego stanowiska wyrasta z wody okazała roślina arum. Wśród liści długich na metr wznosi się łodyga ze wspaniałym, potężnym kwiatem. Jest to mięsista pochwa śnieżnej białości, a w jej środku tkwi szkarłatny słupek. Małe muszki służą do zapładniania olbrzymiego kwiatu i dla nich to arum wytwarza ową gnilną woń, ażeby zwabić je do siebie. Szata — majestatyczna, ale smród — piekielny.

W tej żarliwej przyrodzie nie ma chwili wytchnienia. Nagle Velomody nadstawia ucha i daje mi znak ręką. W pobliżu, pod krzakiem, rozlega się stłumiony pisk. Ptasi czy owadzi, nie wiem dokładnie.

— Zaczekaj! — woła dziewczyna, chwytając leżący na ziemi kijek, doskakuje do krzaka i pod nim żwawo grzebie w trawie.

Znajduje, czego szukała. Podnosi na patyku coś długiego i cienkiego, co rusza się jak niemrawy wąż. Lecz okazuje się, to nie wąż. Oczom ledwo wierzę: dżdżownica, długa na metr, gruba jak palec. Do tego dżdżownica wydająca piskliwe tony.

— Napotykamy dziś same dziwadła i olbrzymy! — krzyczy się do Velomody chowając niezwykłą zdobycz do puszki.

Od strony wody słychać słaby, miarowy plusk: ktoś wiosłuje. Podpływa na czołnie do miejsca, w którym ścieżka kończy się nad zatoką. Najpierw słyszymy, jak ludzie dobijają do przystani i wyskakują na ląd; a potem widzimy ich. Czterech młodych Malgaszów szybkim krokiem wchodzi na ścieżkę i zbliża się do nas. Uderza mnie, że dwóch z nich trzyma w ręce dzidy, zakończone żelaznym, ostrym grotem, broń, jaką noszą daleko na południu wyspy mężczyźni ze szczepu Antandroj. Tutaj tego zwyczaju nie ma.

— Czy to Antandroje? — pytam dziewczyny.
— Nie — zaprzecza Velomody ruchem głowy.
— Betsimisarakana?
— Tak.

— A znasz ich?
— Nie. Pierwszy raz ich widzę.
— Czemu noszą te dzidy? — uśmiecham się na tak wojownicze uzbrojenie.

Przybysze są młodzi. Najstarszy z nich nie ma dwudziestu dwóch, trzech lat. Rzuca się w oczy ich podniecenie. Niespokojnym wzrokiem szukają czegoś dokoła i oczywiście łatwo nas dostrzegają.

Mój widok powoduje wyraźne zamieszanie. Gdy pierwszy z nich mnie odkrywa, staje jak wryty z wytrzeszczonymi oczyma i ostrzega swych towarzyszy głosem przerażonym:

— Vazaha!!

Wszyscy czterej gwałtownie cofają się o kilkanaście kroków i podrażnieni rozważają, co czynić. Trudno im ukryć swe wzburzenie. Ich przestrach wydaje mi się dziwny. Nie ma już na Madagaskarze Malgaszów, którzy nie znaliby białych ludzi.

Po chwili przybysze coś postanawiają i zbliżają się do nas z grymasem na twarzach. Nie jest to szczery uśmiech.

— Uwóżaj, vazaho! — półgłosem uprzedza mnie za-trwożona Velomody. — Oni są fałszywi.

Nie pozwalam im podejść bliżej niż na piętnaście kroków.

— Stójcie! — wołam. — Czego wy chcecie?
— Nic — odpowiada najstarszy z nich.

Podczas gdy jego towarzysze zatrzymują się, on nie słucha mego wezwania i spokojnie kroczy dalej. W garści dźwierży dzidę. Podnoszę strzelbę.

— Stój, bo strzelam! Mam nabitą dubeltówkę. Malgasz przystaje.

— To niepotrzebne tak grozić — mówi z wyrzutem w głosie.

— Kim wy jesteście? — pytam.
— Mieszkańcami wsi po drugiej stronie rzeki.
— Jakiej wsi?
— Rantavatobe.

Jest to wieś leżąca nieco powyżej Ambinanitelo.

Przybysze są młodzi. Najstarszy z nich nie ma dwudziestu dwóch lat.



— On kłamie, vazaho! — szepce do mnie Velomody.
— On stamtąd nie jest.

Ładna awantura! Nie rozumiem do czego tych czterech przybyszów właściwie zmierza i dlaczego tak się przejęli ujrzawszy mnie. W każdym razie muszę mieć się na baczności i jak najszybciej wycofać z niewyraźnej sytuacji. Mogłbym poprosić Velomody, by im wytłumaczyła, kim jestem. Lecz czy odniosłoby to pożądany skutek, jeśli to jacyś przestępcy?

Wtem od strony zatoki rozlegają się głosy. Nadpływa druga łódka i na brzeg wysiada kilku nowych wiosłarzy. Między tym, z którym rozmawiałem, a świeżo przybyłymi wywiązuje się krótka, ożywiona wymiana słów po malgasku.

— Uciekajmy! — szepce Velomody. — Oni chcą ciebie złapać. Teraz ich wielu...

Trzymając strzelbę w pogotowiu zamierzam oddalić się. Spozstrzegam to ów najbliższy Malgasz i jakkolwiek nie rusza się z miejsca, woła do mnie nakazującym głosem:

— Nie odchodź, vazaho!
— Pamiętaj — odpowiadam mu — że mam w lufach dwa naboje... Czego wy w ogóle chcecie?

Bez względu na wynik zajścia postanawiam przeprowadzić swoje i odejść. Lecz wypadki następują po sobie z tak błyskawiczną szybkością, że nie oddalam się nawet i dziesięciu kroków.

Nowoprzybyli goniąc z daleka dokoła naszej grupy starają się odciąć mi odwrót. Nagle Velomody wyskakuje spod mego boku i pędzi w stronę tych, którzy zabiegają nam od tyłu. Czyżby to jej zdrada? — przesyła mnie idiotyczna myśl mniej bólem niż osłupieniem.

— Velomody!! — krzyczę.
Dziewczyna nie zważając na mnie przystaje i woła do jednego z przybyłych:

— Razafy!
Razafy odpowiada jej okrzykiem zdumienia. Biegnie do Velomody. Obydwójce nie ukrywają swej radości.

Młodzieniec chwytając dziewczynę oburącz za ramiona i w przypływie uniesienia tego ją trzęsie. Reszta Malgaszów przygląda się scenie z tym samym oszołomieniem, z jakim ja na to patrzę.

Velomody odwraca się twarzą do mnie i rozpromieniona wskazuje na młodzieńca:

— To Razafy.
A gdy widzi, że nie wiem, kto to Razafy, dodaje wesoło:

— No, mój brat.
Teraz rozumiem. Razafy, wnuk Dżinarivela, to ów robotnik na europejskiej plantacji w Antalaha, o którym słychy szły, że był uwięziony!

Kilka słów wyjaśnienia ze strony siostry i brata i, jakby ręką odjął, znika cały nastrój wrogiego napięcia. Malgasz uśmiecha się do mnie, ale tym razem bez podstępnych zamierzeń. Najstarszy z nich, który przedtem ze mną rozmawiał, jest ich kierownikiem i z całą otwartością zdaje mi pokrótce sprawę z tego, co zaszło.

Oni wszyscy — jest ich dziewięciu — byli w więzieniu, oskarżeni o ciężkie, zmyślone zbrodnie, za to, że stali na czele strajku przeciw plantatorom. Trzy dni temu wybuchły w Antalaha nowe zamieszki, podczas których część robotników wtargnęła do więzienia i uwolniła więźniów. Udało się uciec z miasta, lasy i góry były niedaleko. Przebili się przez puszcze i szczęśliwie przybyli tu, nad rzekę Antanambalana.

— A teraz co? — pytam serdecznie przejęty ich losem.

Młody Malgasz wzrusza ramionami i bezradnie patrzy przed siebie. Teraz dopiero występuje całe jego zmęczenie. Po krótkotrwałym podnieceniu sprzed kilku minut popada w zupełne ośpienie.

— Nie wiem, co zrobimy — odpowiada. — Może pozostaniemy tu, w Ambinanitelo?

— A pościgu nie obawiacie się?
— Nie. Oni tam nie wiedzą, w którą stronę uciekliśmy.

Robotnicy niczego nie są pewni. Wiedzą tylko, że trzeba mieć się na baczności. Obawiają się Rajaony, szefa kantonu w Ambinanitelo. Zresztą nie tracą otuchy. Są mi wdzięczni, że okazuję im życzliwość. Wszyscy na pożegnanie podają mi rękę i uchodzą w las. Razafy, starszy o trzy albo cztery lata brat Velomody, jest ładnym młodzieńcem i bardzo podobny do swej siostry, Benaczehiny.

Nie tylko Kopernik..

Wojciech z Brudzewa, Kopernik, Heweliusz i Jan Śniadecki... Utało się mniemanie, że lista polskich astronomów, zasłużonych dla nauki światowej, ogranicza się do tych czterech nazwisk.

Że tak bynajmniej nie jest — informuje nas popularna broszura prof. Eugeniusza Rybki*). W sposób bardzo zwięzły opisuje autor życie i działalność kilkudziesięciu astronomów polskich, podkreślając znaczenie ich prac dla rozwoju astronomii. Z broszury dowiadujemy się, że rola uczonych polskich w nauce światowej była znacznie większa niż się ogólnie przypuszcza, że wśród polskich badaczy nieba nie brakło ludzi pełnych poświęcenia, którzy prowadzili cenne dla astronomii prace w niesłychanie trudnych warunkach braku opieki i zainteresowania, a częstokroć i prześladowań ze strony władz i reakcyjnego duchowieństwa.

Obok astronomów działających w Polsce, omawia autor działalność licznych uczonych, którzy — nie znajdując w kraju możliwości prowadzenia na szerszą skalę badań astronomicznych — pracowali za granicą i tam wnieśli duży wkład do nauki światowej. Do nich należeli m. in. Marian Kowalski i Witold Ceraski, wybitni przedstawiciele astronomii rosyjskiej.

Brakiem wartościowej i pouczającej książeczki jest zbyt krótkie i ogólnikowe omówienie współczesnych prac naszych astronomów oraz ich zamierzeń na najbliższą przyszłość.

W galerii przodków

Wiedza o protoplastach człowieka dzisiejszego, noszącego dumne określenie „homo sapiens“, rozwinęła się w ciągu ostatniego półwiecza. Liczne wykopaliska przodków człowieka z odległych epok pozwalają nam odtworzyć główne etapy rozwojowe rodzaju ludzkiego — od „driopiteka“ sprzed 30.000.000 lat, który był wspólnym przodkiem człowieka i małp człekokształtnych — do dzisiejszego „pana stworzenia“.

O badaniach tych i o historii rozwoju człowieka opowiada czytelnikowi Wanda Stęślicka w broszurze „Przodkowie człowieka dzisiejszego“**). Autorka rozpoczyna swą gawędę od okresu, kiedy gady ssakokształtne zaczęły przeobrażać się w pierwsze ssaki — i doprowadza do epoki lodowcowej, w której można mówić już o istnieniu homo sapiens. Unikając zbędnej terminologii, wyjaśniając metodę badań archeologicznych — przedstawia Stęślicka bardzo przejrzysto i zrozumiale najważniejsze momenty dziejów powstania człowieka. Autorka należyście podkreśla rolę pracy i języka w rozwoju rodzaju ludzkiego, dzięki czemu czytelnik rozumie powstanie jakościowej różnicy między człowiekiem a resztą świata zwierzęcego. Zaletą broszury jest także rozpatrywanie przemian rozwojowych w ścisłym związku ze zmieniającymi się warunkami bytowania na ziemi.

Wydaje się jednak, że popularna broszura na tak ciekawy temat, jak powstanie człowieka — winna być pisana w sposób mniej suchy i podręcznikowy. Sam temat daje ogromne możliwości żywego zainteresowania czytelnika dziejami jego przodków, ciekawymi losami prac wykopaliskowych. Wspomnienie o błędnych czy wręcz fantastycznych teoriach i hipotezach o powstaniu człowieka, których ślady pokutują jeszcze gdzieś w najdalszych zakamarkach umysłów niektórych grupach społeczeństwa — podkreśliłoby jeszcze wartość naukowego, materialistycznego poglądu na tę sprawę, opartego o ni słychanie bogaty materiał faktyczny.

Pożyteczna broszura Stęślickiej doczeka się jeszcze zapewne niejednego wydania. Dlatego warto pomyśleć o możliwościach bardziej atrakcyjnego podania tematu, nawet drogą niewielkiego zwiększenia objętości broszury. (ek)

*) Prof. dr E. Rybka: Wkład astronomów polskich do nauki światowej. 78 str., 19 ilustracji, cena zł 3.— Wyd. „Wiedza Powszechna“, 1953. Nakład 10 tys. egz.

**) Wanda Stęślicka: Przodkowie człowieka dzisiejszego. Wydanie drugie. 80 stron, 32 ilustracje, cena zł 2,10. Wyd. „Wiedza Powszechna“, 1953 r. Nakład 15.000 egz.

2000 RAZY SPRZEDANA

JERZY WALDORFF



Z CZYMŻE da się porównać to dławiające uczucie przynębnienia, jakie panuje na scenie, kiedy inspicjent patrzy przez otwór w kurtynie na salę teatralną, słyszy pytania: „No jak tam?“ — i po raz nie wiadomo który musi odpowiedzieć: „Ciągłe pusto!“...

Jeszcze najwyższej kilka minut można czekać z zaczęciem przedstawienia. Nadejść prawie żadnej, chyba cud jakiś?... — Więc śpiewacy dalej obijają się w milczeniu o kulisy. Ich kostiumy i żywe kolory charakterystyki złe pasują do twarzą zniechęconych i zgaszonych oczu. Trema aktorska na chwilę przed spektaklem, owo przyspieszone bicie serca — mają w sobie coś z niepokoju kochanka, co czeka na dziewczynę i myśli już tylko o tym, jak się jej najładniej przypodobać. Skoro dziewczyna nie przyjdzie, kochanek wraca do domu i może spokojnie oddać się rozżaleniu. Aktor, kiedy nie przyjdzie publiczność, musi grać dla garstki widzów, pokrywając zawód, zniechęcenie i rozgoryczenie już tylko rutyną.

Oparty o jedną z kulis tkwi szczipły mężczyzna, którego włosy, starannie zaczesane do tyłu, łączą się u skroni z brodą wydłużającą twarz. Jest pozornie spokojny, ale kto by się przyjrzał uważniej jego zaciśniętym ustom i oczom za szklami, odgadłby rozpacz. Mężczyzna jest kompozytorem opery, która właśnie dziś ma być wystawiona po raz pierwszy.

Inspicjent ponownie zagląda na salę poprzez otwór w kurtynie, sprawdza czas na zegarku i wreszcie się decyduje: zaczynać! Kiedy, po uwerturze, kurtyna idzie w górę, z sali wieje na scenę chłodem i ledwo że słychać kilkadziesiąt niemrawych oklasków.

Gdzie to się wszystko tak działo? — W teatrze czeskim w Pradze, 30 maja 1866 roku. Niefortunnie wprowadzana na scenę opera zwała się „Sprzedana narzeczona“, a kompozytor — Fryderyk Smetana.

Były powody, dla których premiera nie mogła stać się sukcesem. W powietrzu wisiała wojna austriacko-pruska. Z godziny na godzinę oczekiwano jej wybuchu, przeto ludzie mieli ważniejsze rzeczy na głowie od muzyki. Zwłaszcza Czesi, którzy w jedno państwo związani byli z Austrią politycznym przymusem, lecz nie uczuciem, i nie mieli żadnej ochoty ginąć za tron Habsburgów.

Aliści czeski upór i wytrwałość przynosiły tym lepsze owoce, im głośniejsz śmiano się z czeskiego hasła „Ne dejme sel“, mało podobnego do romantycznych hasel epoki. Gdy tylko wojna się skończyła, „Sprzedana narzeczona“ wystawiono czym prędzej po raz drugi i trzeci i już nie było powodów, żeby obawiać się o jej przyszłość.

Pierwszą Narzeczoną była w Pradze śpiewaczka pochodząca ze szlachty, więc wszyscy jej krewni i znajomi nie omieszkali pospieszyć z kondolencjami, że musi występować jako chłopka, w chłopskiej operze, niegodnej wystawienia przez szanujący się teatr. Kilka lat wcześniej podobne kondolencje zbierała w Warszawie śpiewaczka, która była pierwszą odtwórczynią roli tytułowej w „Halce“ Moniuszki. Lecz i w Pradze i w Warszawie o dalszych losach dwóch oper narodowych nie decydowała szlachta, tylko „niższe“, ale daleko bardziej szerokie rzesze społeczeństwa. Właśnie fakt, że akcja „Sprzedanej narzeczonej“ toczyła się na czeskiej wsi, muzyka zaś oparta była na czeskich motywach ludowych, wpłynęła na powodzenie opery nie tylko w Czechach. Kiedy w roku 1892 pokazano ją w Wiedniu, na Międzynarodowej Wystawie Teatralnej przedstawiciele wielu krajów natychmiast zakontraktowali śliczne dzieło. W warszawskim Teatrze Wielkim „Sprzedana narzeczona“ grana była po

raz pierwszy w roku 1895. Z ogromnym sukcesem! Krytyka i nasza i zagraniczna nie wahała się przyrównywać utwór Smetany do arcydzieł opery komicznej Mozarta i Rossiniego.

Poza „Sprzedaną narzeczoną“ Fryderyk Smetana stworzył kilka oper poważnych, jak „Brandenburczycy w Czechach“, „Dalibor“, czy „Libusza“, a także wspaniałe cykle poematów symfonicznych „Moja ojczyzna“. Lecz nic z tego nie dorównało sławie lekkiej a wesołej „Narzeczonej“. Jeszcze za życia Smetany, bo w roku 1882 świętowano w Pradze jej setne przedstawienie, a w roku 1927 — tysięczne, no i w bieżącym...

Właśnie dlatego piszę niniejszy artykuł, że w bieżącym 1953 roku, w Teatrze Narodowym w Pradze wystawiono bardzo uroczyście „Sprzedaną narzeczoną“ po raz dwutysięczny! — Gdybyż owego smutnego maja, w przededniu wojny prusko-austriackiej, znalazła się za kulisami w Pradze jakaś dobra wróżka i gdyby mogła przepowiedzieć zmarłownemu Smetanie tę liczbę 2000... Mało która z poważnych oper może się pochwalić w swoim kraju taką sumą przedstawień i powodzenia, choć treść „Sprzedanej narzeczonej“ jest prościutka, wręcz — można by rzec — naiwna.

Dziwicie się? Posłuchajcie, co z okazji 2000 spektaklu powiedział wicepremier Czechosłowacji i prezes tamtejszej Akademii Umiejętności, prof. dr Zdenek Nejedlý: „Ile razy byliśmy w nieszczęściu, chodziliśmy oglądać Marzenkę, Jenika, Kecal. Może to wywołać uśmiech, że „Sprzedana narzeczona“ tak dzielnie podtrzymywała nas w okresach politycznego ucisku. Wyjaśnijmy: na „Sprzedanej narzeczonej“ bywamy nie po to, żeby spotkać się z jej postaciami tyle nam drogimi, ile naiwnymi; ani dla jej prostej akcji, ani nawet dla muzyki. Pragniemy jej przede wszystkim dlatego, żeby oddychać radością techną z owego dzieła — tak mocną, że opuszczamy teatr odrodzeni, weseli, odważni“.

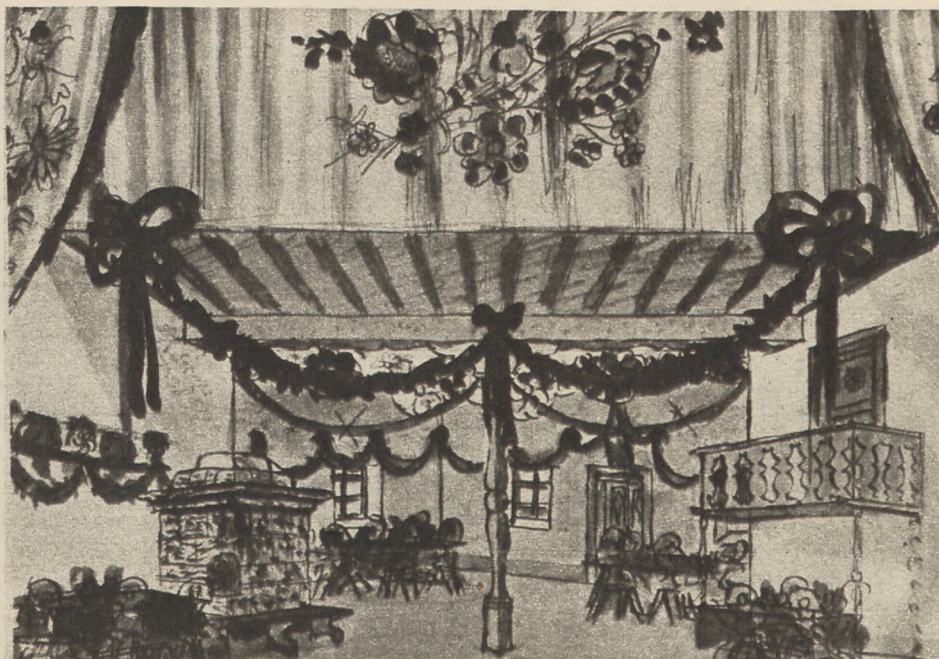
W akcie pierwszym „Sprzedanej narzeczonej“ ludność pewnej wsi czeskiej bawi się na placu przed karczmą. Smutna jest tylko śliczna młoda Marzenka, gdyż zmuszają ją do porzucenia biednego, lecz kochanego Jenika i wyjść za mąż za bogatego Waszka. Jenik jeszcze jako dziecko został wygnany z domu przez macochę. Waszek natomiast ma być jedynym spadkobiercą bogatego gospodarza Michy, gdyż drugi syn Michy zaginął dawno, w tajemniczych okolicznościach.

Akt drugi. — Opór Marzenki jest trudny do przełamania, więc swat Kecal postanawia urobić Jenika. Obcuje mu 300 dukatów za wyrzeczenie się Marzenki. Jenik zgadza się, ale pod warunkiem, że Marzenka wyjdzie za mąż właśnie i tylko za syna bogatego Michy.

Akt trzeci urozmaicony jest popisami wędrowniej trupy cyrkowców oraz powikłaniami akcji dramatycznej. Marzenka, oburzona na Jenika za to, że ją sprzedał, decyduje się oddać rękę Waszkowi. Ale Waszek zakochał się tymczasem w cyrkowce Esmeraldzie. I nie wiadomo, co by się w końcu stało, gdyby Jenik nie okazał się drugim, owym zaginionym synem bogatego gospodarza Michy. Spryciarz wiedział o tym podpisując kontrakt sprzedaży narzeczonej ze swatem Kecalem. Dlatego postawił warunek, że Marzenka musi wyjść za syna Michy. Tyle, że syn nie będzie miał na imię Waszek, lecz Jenik. Kiedy się wszystko wyjaśnia, uradowani wieśniacy kończą operę odtańczeniem wspaniałej, sławnej polki ze „Sprzedanej narzeczonej“.

Przy okazji warto przypomnieć dramatyczną postać librecisty wesołego widowiska. Libretto do „Sprzedanej narzeczonej“ napisał zdolny i ceniony publicysta czeski, Karol Sabina. — W okresie Wiosny Ludów Sabina był jednym z przywódców czeskich walk o niepodległość. Po „przywróceniu porządku“ w Pradze przez wojska austriackie, młody publicysta został skazany na śmierć, co potem zamieniono na dożywotnie więzienie i osadzono skazańca w jednej ze strasznych twierdz Habsburgów, w Ołomuńcu. Po 8 wszakże latach Sabina został uwolniony i stanął ponownie na czele czeskiego ruchu niepodległościowego. Tak było aż do dnia, kiedy dowiedział się, że jest... szpiegiem austriackim! Wyklęty przez czeskie społeczeństwo, Sabina zmarł w nędzy i rozpacz, na wygnaniu. — Lecz na tym nie koniec jego historii. Skoro, w kolejnym biegu wydarzeń, przegnano z tronu Habsburgów i Czesi uzyskali wreszcie niepodległość, znakomity czeski dziennikarz Egon Erwin Kisch natrafił w aktach b. policji cesarskiej na ślady działalności Sabiny i dowiedział się spraw dziwnych. Oto Sabina, załamany pobyt w twierdzy ołomuńskiej, przyjął wprawdzie wolność za cenę szpiegowania na rzecz Austrii, lecz szpiegował w ten sposób, iż dostarczał policji austriackiej wiadomości pozbawionych jakiegokolwiek znaczenia. Nie wydał nikogo ze swych ziomków, nie zdradził żadnej z tajemnic czeskiego ruchu niepodległościowego.

Sabina pisał libretto „Sprzedanej narzeczonej“ w okresie, kiedy był szpiegiem. Ciekawe byłoby dojść, jak dalece pod postacią Jenika, sprzedającego tylko pozornie narzeczoną, widział samego siebie, sprzedającego tylko pozornie swój kraj. Czy ta „pozorność“ usprawiedliwia go w oczach historii? Z pewnością nie! — Jest jednym więcej dowodem, że ludzie trwale budować mogą swoje życie tylko na bezwzględnej uczciwości, a chytrych i podstęp opłaca się jedynie postaciom z opery.



Dekoracje Karela Svobody'ego do II aktu „Sprzedanej narzeczonej“ (lata 1943-1949).



Stosowanie gorących okładów ma duże znaczenie w pierwszych tygodniach choroby. Zapobiega to utrwalaniu się przekurczy i zmniejsza bóle w mięśniach.

TAM, GDZIE PRZESZEDŁ WIRUS - NISZCZYCIEL



W wannach do podwodnych masażu z kranów płynie woda pod dużym ciśnieniem. Silny prąd wody „masuje” unieruchomione mięśnie, pobudzając je do pracy.

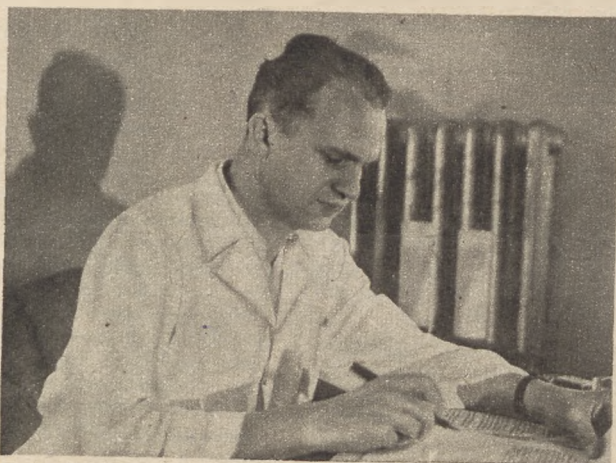
PRZED pierwszą wojną światową, a zwłaszcza po niej, zaczęła się coraz częściej pojawiać w Europie infekcyjna choroba Heine-Medina, inaczej zwana paralizem dziecięcym. Występowała najpierw w pojedynczych przypadkach, a potem — w formie epidemicznej w środkowej Europie: w Niemczech, Austrii, Czechosłowacji. W roku 1951 zanotowano wypadki Heine-Medina w Polsce.

Walka z tą chorobą jest niesłychanie trudna, ponieważ ogranicza się właściwie do leczenia następstw choroby — paraliżu. Przeciw samej Heine-Medina nie wynaleziono do tej pory żadnej szczepionki. Zarazek wywołujący tę chorobę — przesączalny wirus — jest jednym z najmniejszych znanych mikroorganizmów (15 milionów) i nie udało się go dotychczas uchwycić.

Wirus dostaje się do organizmu przez gardło lub przewód pokarmowy. Następnie drogą przewodów nerwowych dochodzi do mózgu i rdzenia. Tam się zagospodarowuje i żyje kosztem komórek nerwowych, które niszczy — częściowo lub zupełnie. W przypadkach częściowego zniszczenia komórki w rdzeniu przedłużonym, można odpowiednim mięśniom lub grupom mięśniowym, unieruchomionym wskutek porażenia nerwu, przywrócić — jeśli nie całkowicie, to przynajmniej częściową — sprawność działania. Gdy natomiast komórka nerwowa zostaje całkowicie zniszczona (co należy do przypadków raczej rzadkich) — nawet intensywne leczenie nie może dać wyników.

Wiele osób przechodzi paraliż dziecięcy nawet nie wiedząc o tym. Zdarza się to wtedy, gdy choroba ta przebiega łagodnie, w formie grypy, nie dając w następstwie porażenia. Ale osobnik przebywający Heine-Medina w tej formie, jest szczególnie niebezpieczny dla otoczenia, ponieważ wskutek nierozpoznanie choroby nie jest izolowany i staje się przez to siewcą zarazki.

Przy typowym paraliżu dziecięcym rozróżnia się dwa okresy. Pierwszy występuje na 6—7 dzień od chwili zarażenia się; objawia się bólami głowy i gardła, gorączką, rozstrojem żołądka, wymiotami i bólami brzucha. Objawy te ustępują po kilku dniach, ale najdalej po tygodniu (drugi okres) gorączka i bóle głowy znów powracają, pojawiają się bóle karku (cha-



Naczelný lekarz w Jańskich Łaźniach, dr Pokorný.

rakterystyczny objaw: chory broni się przed zginiem głowy i całego tułowia do przodu) oraz mięśni w rękach i nogach. Najczęściej po 11—12 dniach występują już porażenia mięśni.

Na temat możliwości leczenia skutków Heine-Medina krąży u nas najrozmaitsze legendy. Często słyszy się zdanie, że porażenia są całkowicie nieuleczalne; nie brak z drugiej strony głosów o rzekomej możliwości zupełnego wyleczenia przy pomocy paru pigułek czy zastrzyków...

Rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej: porażenia są uleczalne, ale wymagają długotrwałego, cierpliwego leczenia.

Metodę oraz organizację leczenia skutków Heine-Medina mogłam obserwować w nowocześnie urządzonej zakładzie leczniczym w Jańskich Łaźniach w Czechosłowacji, w którym sama jako pacjentka spędzałam kilka miesięcy.

Jańskie Łaźnie — to miasto-zdrój, położone na południowym zboczu Karkonoży, w dolinie pod Czarną Horą, pośród lasu. Sam zakład leczniczy, jeden z najlepszych na świecie w tej dziedzinie, zajmuje 3 budynki (około 500 łóżek) oraz kilka hoteli, gdzie mieszkają pacjenci, mogący się samodzielnie poruszać.

Przy przyjęciu pacjenta bada jeden z lekarzy zakładowych, który zależnie od rodzaju i stopnia porażenia określa każdemu indywidualnie sposób leczenia. Potem już następuje długa i żmudna praca personelu leczniczego.

Od czego zaczyna się leczenie?

Na skutek porażenia niektóre mięśnie w kończynach górnych i dolnych oraz mięśnie pleców — ulegają mniejszemu lub większemu skurczeniu. Pierwszym więc zadaniem jest przywrócenie mięśniom elastyczności, przez co zapobiega się skróceniu kończyn i skrzywieniom kręgosłupa. Ma to szczególnie wielkie znaczenie u dzieci, które w procesie wzrostu narażone były niemal zawsze na — niekiedy bardzo poważne — deformacje. Usuwano je dawniej przez stosowanie skomplikowanych operacji ortopedycznych, których wynik był często bardzo wątpliwy. Po wprowadzeniu nowych metod leczniczych — operacje stosowane są w Czechosłowacji tylko w wyjątkowych wypadkach.

Terapia polega przede wszystkim na rozgrzewaniu porażonych mięśni gorącymi okładami. Na każdym oddziale zainstalowane są kotły parowe, ogrzewane przy pomocy elektryczności; w gorącej parze grzeje się płaty materiału, którymi okłada się pacjenta. Stosowanie tych gorących okładów ma doniosłe znaczenie, szczególnie w pierwszych tygodniach choroby: zapobiega utrwaleniu się przekurczy i zmniejsza bóle w mięśniach.

Po tym zabiegu leczący odbywa kilka razy dziennie z pacjentem ćwiczenia. Tak zwane bierne ćwiczenia, które terapeutę wykonuje przy jednoczesnym potrząsaniu odpowiednich mięśni, mają na celu pobudzenie do życia zaatakowanych, ale nie zniszczonych jeszcze komórek nerwowych. Aktywne ćwiczenia wykonuje pacjent sam, ale również przy pomocy terapeuty, który kontroluje, aby przy wykonywanych ruchach pracowały właściwe mięśnie.

Nauka chodzenia odbywa się z reguły pod kontrolą lekarza. Wszystko to wymaga niesłychanej cierpliwości i wytrwałości zarówno ze strony pacjenta jak i leczącego. Ani lekarz ani pacjent nie może zniechęcić się nawet wtedy, gdy na wynik leczenia trzeba czekać całe lata.

Jańskie Łaźnie wyposażone są jeszcze w specjalne baseny z ciepłą wodą, gdzie prowadzone są podwodne ćwiczenia i masaż. Tego rodzaju leczenie konieczne jest tylko w starszych przypadkach Heine-Mediny. Niekiedy stosuje się jeszcze elektroterapię: naświetlania lub nagrzewania oraz elektryzację.

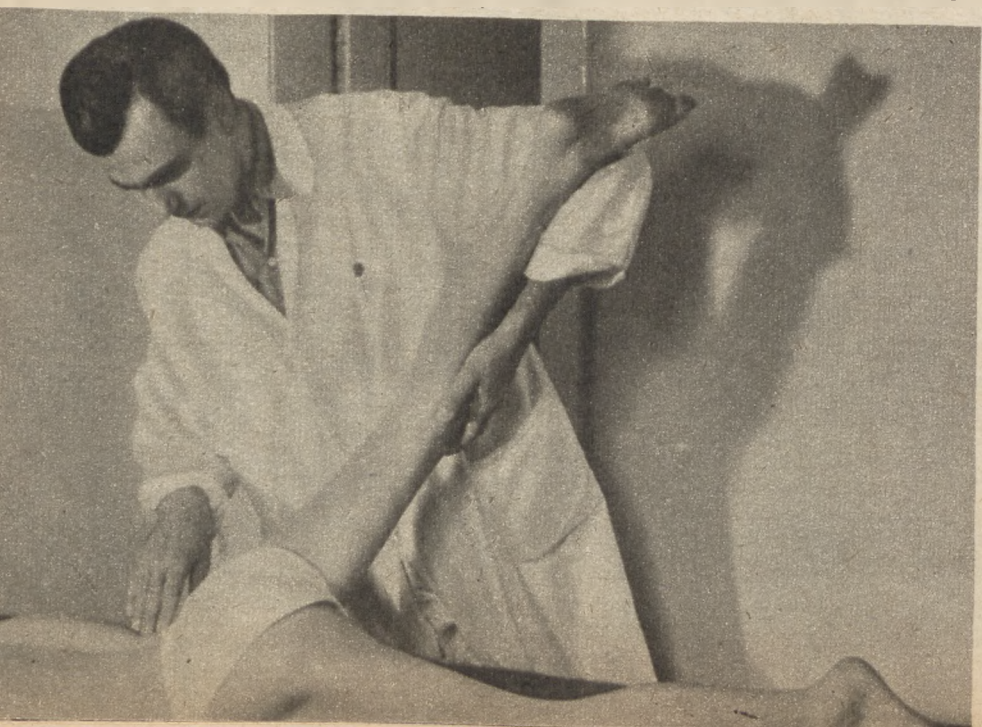
Skuteczność tych wszystkich metod zależy jest jeszcze od jednego, niezmiennie ważnego czynnika: pacjent nie powinien ani przez chwilę ulegać tzw. psychozie szpitalnej. Stworzenie właściwej atmosfery — to duża zasługa personelu Jańskich Łaźni. Do zakładu zapraszani są pierwszorzędni artyści, zespoły teatralne i rozrywkowe, które uprzyjemniają czas pobytu pacjentom. Lekarze i pielęgniarki zakładu — to ludzie o dużym wyrobieniu społecznym i zdolnościach organizatorskich. Prowadzą oni w zakładzie kółka śpiewacze, fotograficzne, teatralne, szachowe, organizują pogadanki, gry zespołowe — słowem — zapewniają pacjentom taki tryb życia, w którym niewiele pozostaje miejsca na ponure rozmyślanie.

Bardzo istotny jest także bezpośredni stosunek personelu leczniczego do pacjentów. Szczera chęć pomocy przejawia się nie tylko w sumiennie prowadzonym leczeniu, życzliwym słowie i miłym uśmiechu, ale i w pięknym odruchu siostry, która np. po skończonej służbie wozí jeszcze pacjenta na wózek po okolicach Jańskich Łaźni, aby użył powietrza i słońca.

Zakłady dla leczenia porażen po Heine-Medina zostały otwarte również i w Polsce. Pracuje w nich personel szkolony przez czechosłowackich specjalistów. Nasze młode pielęgniarki będą współpracować w formie wymiany doświadczeń z podobnymi zakładami leczniczymi w CSR. Wierzymy, że osiągną na tym polu podobne sukcesy, jak zakłady w Czechosłowacji.

ZOFIA ZDZIENICKA

Kilka razy dziennie wykonuje terapeuta z pacjentem tzw. ćwiczenia bierne. Mają one na celu pobudzenie do życia zaatakowanych, ale nie zniszczonych komórek nerwowych



LEBENSRAUM ...

Na plakacie wyborczym ręka dowcipnego przechodnia domalowała wąsiki i grzywkę. Efekt był nadzwyczajny: Adenauer przeobraził się w Hitlera. Popatrzcie:



Rzecz w tym, że podobieństwo nie kończy się na optycznym złudzeniu. Oto wyjątek z przemówienia Herr Adenauera, wygłoszonego nazajutrz po wyborach, w dniu 7 września r. b. Cytujemy za „Rheinische Post” z dn. 8 września 1953:

„...wir werden bald erfahren, dann geben wir unserer Jugend das, was sie braucht, einen größeren Raum der politischen, wirtschaftlichen und kulturellen Entwicklung.“

„...zapewnimy naszej młodzieży to, co jest jej niezbędne, większe pole (Raum) dla politycznego, gospodarczego i kulturalnego rozwoju“.

Jeśli nie pamiętacie dokładnie, kto już coś podobnego kiedyś powiedział, to chętnie wskażemy osobę i miejsce: Adolf Hitler, „Mein Kampf“, str. 728 wydania z roku 1933:

„Nur ein genügend großer Raum auf dieser Erde sichert einem Volke die Freiheit des Daseins.“

„Tylko wystarczająco duża przestrzeń (Raum) na kuli ziemskiej może zapewnić narodowi niezależny byt“.

A zakres tej „wystarczająco dużej przestrzeni“?

Sięgnijmy choćby do ostatniego numeru zachodniemieckiego tygodnika „Ost-West-Kurier“.

... NA WSCHODZIE

Numer 38 tygodnika „Ost-West-Kurier“ przynosi kolumnę zdjęć pt. „Wieże wierności“. Figurują tu widoki dobrze nam znanych miejscowości: ratusz w Toruniu, zamek w Reszlu (Mazury), baszta w Zgorzelcu, kościół w Otmuchowie (Śląsk Opolski), katedra we Wrocławiu, kościół w Stargardzie. Ale nie na tym koniec: są tu i zdjęcia Czechosłowacji: kościół w Brnie, kościół w Heinicach, kościół w Li-

berecu, a nawet z dalekiego Siedmiogrodu w Rumunii: baszta obronna w Sighisoara.

A sens tej kolumny wyjaśnia pierwsze zdanie artykułu:

„Jak palec historii wysoko strzelają w górę sylwetki wież katedr, ratuszów i zamków niemieckich miast na Wschodzie...“

Oto ilustracja do słów Adenauera o większym „lebensraumie“.



WALTEROWCY

Bokończenie ze str. 12/13

Snując się korytarzami szkoły oglądałem fotografie z walk pod Lenino, portrety generała Waltera. — Kadeci znają na pamięć dzieje ludowych bohaterów i starają się ich naśladować. Absolwenci Korpusu (szkołę ukończyli już trzy roczniki) studiują na wyższych uczelniach, pracują w różnych dziedzinach życia wojskowego, dają sobie radę doskonale i zajmują coraz odpowiedzialniejsze stanowiska.

Rzecz prosta — jednym przyszło to łatwiej, innym trudniej.

— Miałem tutaj bardzo ciężki początek — zwierzał mi się kadet Eugeniusz Rzewuski. — Pochodzę ze wsi Paprotnia koło Siedlec, gdzie mój ojciec gospodarował na niecałym hektarze. Po jego śmierci ledwo mogliśmy się utrzymać. Chodziłem do wiejskiej szkoły, gdzie program nauczania nie stał zbyt wysoko...

Do Korpusu zdałem egzamin ledwie, ledwie. Ale prawdziwe kłopoty zaczęły się dopiero później: nie mogłem poradzić sobie z nauką. Na dobitkę miałem kłopoty z dyscypliną — paliłem wbrew zarządzeniom, jakoś nie mogłem nauczyć się musztry, słowem rozpacz. Aż pewnego dnia miarka się przebrała. Ja i jeszcze kilku innych takich łazików spóźnił się na gimnastykę. Oficer wychowawca kazał nam zostać po lekcji i dalej ćwiczyć. Mnie wyznaczył do prowadzenia tych ćwiczeń.

Zmówiliśmy się, że gimnastykować się nie będziemy, bo przecież lekcja skończona... Przychodzi oficer. „Dlaczego — powiada — nie podajecie komendy?“ „Nie będę — lekcja skończona“.

Zwolnił nas i wyszedł.

Na drugi dzień wezwany zostałem do ZMP. Był tam i dowódca. Przygotowałem się na porządną burę, ale oni zaczęli od czego innego. Zapytali, czy chcę chodzić na dodatkowe nauczanie i czy potrzebuję do tego jakichś książek. Odpowiedziałem, że chcę. I tak się zaczęło: douczałem się codziennie wieczorem pod kierunkiem nauczyciela i pod koniec roku uzyskałem niezłe wyniki. Przy okazji zaprzyjaźniłem się z ZMP-owcami. Już nie pamiętam, jak do tego doszło, ale po jakimś czasie zgłosiłem się do ZMP. Złożyłem zobowiązanie, że nie będę palił, nie będę wykraczał przeciw regulaminowi. Musieli mi chyba dobrze tłumaczyć, bo zdaje się, że dzisiaj...

— Tak, tak, dzisiaj jest już wszystko w porządku. Słyszałem, że chcecie wstąpić na wyższą uczelnię wojskową...

MIROSŁAW AZEMBSKI

KRZYŻOWCY

Rekord, który niełatwo będzie pobić, osiągnęła firma angielska p. n. Bible Pictures Inc., wydając... biblię w comics'ach. Dwa tomy tego wydawnictwa: „Picture Stories from the Old Testament“ i „Picture Stories from the New Testament“ („Historie obrazkowe ze Starego i Nowego Testamentu“) opracowane zostały — rzecz jasna — przez amerykańskiego „uczonego“, M. C. Gaines, profesora jednego z najpoważniejszych uniwersytetów amerykańskich, Harvard University. Uczony profesor pracował ponoć nad swym dziełem lat dwanaście. A próbki jego osiągnięć może sobie Czytelnik uzmysłwić na podstawie reprodukowanego tu obrazka.

Wysiłek naukowo-artystyczny Mr. Gaines'a polegał nie tylko na wybo-

rze odpowiednich scen do zilustrowania przy pomocy jaskrawych, kolorowych obrazków, ale również na przełożeniu biblij na żargon amerykańskich uliczników. Rezultaty są istotnie ujmujące.

Oto scena kuszenia Adama w raju. Ewa (dyskretnie zakryta liściem gdzie należy) przemawia doń: „Tylko jeden kęs, to ci nie może zaszkodzić“. A wąż chichocze: „Ha! Ha! Dała się skusić!“



I tak dalej w tym stylu. W bardziej dramatycznych momentach postacie biblijne wydają z siebie nieartykułowane okrzyki, typowe dla bohaterów amerykańskich comics w rodzaju: „Ugh!“ albo „Ulps!“

Na okładce książki znajdują się opinie licznych amerykańskich profesorów, pastorów, księży i rabinów, którzy gorąco zalecają to wspaniałe wydawnictwo. Niejaki prof. Frank S. Mead twierdzi wręcz, że stanowi ono „wielkie osiągnięcie na polu wychowania religijnego“.

Nam się wprowadzić wydaje, że jest to bluźnierstwo, ale oni powinni wiedzieć lepiej. Przecież prowadzą krucjatę w „obronie religii“.



Żona z okna wola i przypomina, by zaraz po wypłacie mąż odniósł, jak zawsze, część pieniędzy do PKO. Z tych oszczędności umeblują sobie mieszkanie.

TEATR ŚWIAT

Dyrekcja: JAN SZELAĞ
Dekoracje i kostiumy: MA-GA

Zbigniew Grotowski

DE REVOLUTIONIBUS...

I. W BIURZE FBI

AGENT I: Tu jest depesza o ofiarowaniu przez Czechosłowację — Polsce książki „zaraz...acha, „De revolutionibus...“ jakiegoś Mikołaja Kopernika...

AGENT II: Gdzieś słyszałem to naz-



wisko. Trzeba zajrzeć do kartotek.

AGENT I: Czy to nie jakiś współpracownik Einsteina, którego dzieło „Teoria względności“ zostało spalone?

AGENT II: Tak, to zdaje się ta sama banda komunistyczna. No, ale jeżeli Einstein działał na terenie USA, to być może ten Kopernik też tu gdzieś grasuje... W każdym razie ta rewolucyjna książka mu-

si być konfiskowana i palona... Rozesłać wszędzie instrukcje w tej sprawie.

II

KOMISARIAT POLICJI W KILLERTOWN

KOMISARZ: Otrzymałem rozkaz przebadania tutejszych bibliotek i skonfiskowania wyrotowej książki komunisty Mikołaja Kopernika „De revolutionibus...“

SIERŻANT: Zaraz się zrobi... Bibliotek jest niewiele, połowa książek spalona.

KOMISARZ: Zebrać też informacje, czy w okolicy nie ukrywa się autor tej książki.

SIERŻANT: A jak nazwisko tego komunisty?

KOMISARZ: Kopernik... Mikołaj... SIERŻANT (uderza się w czoło): Mam... mam, w New City jest właściciel drogerii, imigrant z Europy Środkowej... nazywa się... (sięga do notesu). Zapisalem jego nazwisko za szybką jazdę... Hurra... nazywa się Mickey Copernic... Mam ptaszka... Jadę go aresztować.

KOMISARZ: Znakomicie, a ja nadam depeszę do centrali: „Autora schwytaliśmy. Przystać odciski palców i fotografię dla sprawdzenia identyczności“.

III

W CELI WIĘZIENNEJ W KILLERTOWN

ADWOKAT: A więc mr. Copernic, twierdzi pan, że to nie pan napisał tę książkę. Cóż, ale imię i nazwisko zgadzają się. O żadnym alibi nie ma mowy, gdyż nie wiadomo, kiedy ta zbrodnia została popełniona. Ciężka sytuacja.

MICKEY COPERNIC: Panie mecenasie, ale ja jestem niewinny. Ja nie mogłem napisać tej książki. Po pierwsze jestem półanalfabeta, nawet nie wiem co oznacza ten tytuł.

ADWOKAT: Sąd panu nie uwierzy... Ach, czy ma pan kogo z rodziny?...

MICKEY COPERNIC: Miałem brata stryjcznego, który emigrował do Kanady, ale umarł.

ADWOKAT: Brat... stryjeczny, a jak miał na imię?

MICKEY COPERNIC: Też Mickey...

ADWOKAT: Wspaniale... Niech pan poleci wypłacić ze swego konta 2000 dolarów. Uwolnię pana.

IV

W DOMU MICKEY COPERNICA

MICKEY COPERNIC: Jest pan najgenialniejszym adwokatem! Wybawił mnie pan z takiej opresji!



Wznoszę zdrowie naszego adwokata.

(Wszyscy wstają i podnoszą kieliszki do góry).

MICKEY COPERNIC: No, ale niech pan powie, jak pan to zrobił, że mnie wypuszczono.

ADWOKAT: To było proste. Oto ci dwaj dżentelmeni, którzy zaszczycili nasze zebranie, potwierdzili pod przysięgą, iż to nie pan, ale pański stryjeczny brat z Kanady napisał tę rewolucyjną książkę...

MICKEY COPERNIC: Niech uściskie tych zacnych dżentelmenów. (Ścisła, dżentelmeni opuszczają zebranie).

MICKEY COPERNIC (sięga do kieszeni): Która to już godzina? O jej, zginał mi zegarek.

ADWOKAT: Drobiazg, widocznie któryś z tych dżentelmenów zabrał przez pomyłkę. Oni są tacy roztargnieni. Codziennie przysięgać po różnych sądach...

KURTYNA

TAJNE SPRAWY TAJNEGO SZAMBELANA

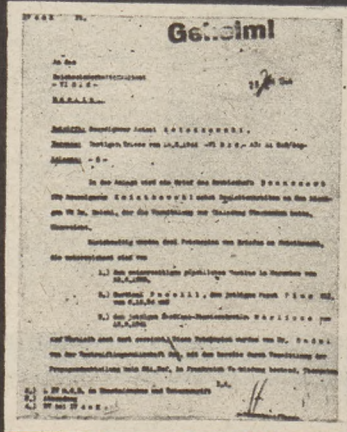
Dokończenie ze str. 15

kiedy brunatny terror w Polsce szalał, kiedy rozpoczęły pracować już komory gazowe w obozach koncentracyjnych — kazał Alojzemu kardynałowi Maggione wystosować list do Kwiatkowskiego:

„...Ciesz się, mój, iż mogę Ci zakomunikować, że Ojciec Święty otrzymał opracowaną przez

Ciebie z naukową ścisłością książkę traktującą o nauce i rozprzestrzenianiu się bolszewizmu. Jego Świątobliwość wyraża Ci swoje serdeczne podziękowanie za dowód Twojego oddania, pochwała pracę, w której obronie religii się zapałem poświęcaś i udziela Ci chętnie wraz z życzeniem łask niebiańskich swego apostołskiego błogosławieństwa, które rozciąga się również na przyjaciół i krewnych“.

Rękopisy mają swoje losy — mówi łacińskie przysłowie. Dziś, kiedy nie żyje już sporo partnerów gry ks. Kwiatkowskiego, kiedy przeminął Himmler i Ratti, II Oddział Sztabu Głównego i Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy — rękopisy mówią o dziejach życia pewnego księdza, który nigdy nie był godny miana Polaka. „Widmo krąży po Europie — widmo komunizmu. Wszystkie potęgi starej Europy połączyły się do świętej nagonki przeciw temu widmu: papież i car, Metternich i Guizot, francuscy radykałowie i niemieccy policjanci“ — wołał przed przeszło stu laty „Manifest Komunistyczny“. Jedyny też sztyd, jaki dziś można przyzepić ks. Kwiatkowskiemu, to tylko — służba dwóch panów: papieża i niemieckich policjantów



Tajne pismo zawiadamiające o przekazaniu fotokopii listów, o których wspominałyśmy w artykule

NOWE KSIĄZKI

Na rynku księgarskim ukazały się ostatnio następujące przekłady utworów prozy radzieckiej:

PIOTR IGNATOW — Zycie prostego człowieka (MON, s. 351, zł 13.—). Jest to autobiografia obywatela radzieckiego, deputowanego do Rady Najwyższej ZSRR. Obejmuje ona okres rewolucji 1905 i 1917 roku w Rosji, kreśli szeroko walkę narodu radzieckiego przeciwko interwentom, walkę o realizację pięciolatek stalinowskich oraz lata Wielkiej Wojny Narodowej.

G. GENEJZER — Rzeka w pustyni (MON, s. 152) — historia ekspedycji geologicznej, która badała trasę przysz-

Drodzy Czytelnicy!

Sprawa moralnej i politycznej oceny działalności księży, którzy niedawno zasiadali na ławie oskarżonych w procesie biskupa Kaczmarka, nie jest obojętna naszym społeczeństwu, dającemu wyraz swoim myślom i uczuciom w bezpośrednich wypowiedziach do prasy i radia. Takim głosem jest m. in. list Ob. Jana Majewskiego z Warszawy, który pisze do naszej redakcji:

„Poza swoją pracą biurową, którą lubię i z chęcią oddaję jej swoje, kilkuletnią służbą nabyte umiejętności, wiele czasu poświęcam czytaniu książek i gazet. Nigdy jeszcze nie pisałem do żadnej redakcji i niech mi będzie wybaczone, jeśli nie dość może biegle wyrażę tu swoje poglądy. Chcę bowiem podzielić się tymi myślami, które nasunęły mi się po wysłuchaniu sprawozdań radiowych z procesu biskupa Kaczmarka, i z lektury w prasie, w tym i w Waszym poczytnym tygodniku. Obchodzi mnie ta sprawa może dlatego bardziej niż innych, że od młodych lat byłem wychowywany w poczuciu należnego szacunku dla osób duchownych, które stawiano mi za przykład, jako ludzi o wysokiej moralności, a także o niezachwianej postawie patriotycznej.

„Proces biskupa Kaczmarka i jego pomocników otworzył mi oczy na wiele spraw, którym nie dawałem przysępu, mimo że coś niecoś w tej materii nieraz już do mnie dochodziło za pośrednictwem książek i gazet. A oto teraz naprawdę z wielką przykrością stwierdzam, że istnieje taka część księży, zwłaszcza tych na wysokich stopniach drabiny, którzy nie zaskarbiają sobie szacunku, a tym bardziej miłości uczciwych ludzi. Nie zawaham się powiedzieć, że tacy księża zasługują po prostu na wzdarcie i potępienie wierzących mas społeczeństwa. Używam tych słów gorzkim wyrzutem, bo kieruje mną uczucie oburzenia, bo chcę, żeby moje dzieci były uczciwymi ludźmi i uczciwymi Polakami, żeby do nich nie miały dostępu słowa fałszu. A ten fałsz i obłuda kryły się w postępowaniu tych księży, którzy odpowiadali za swe czyny — niegodne Polaka i kapłana.

„Ten proces jasno mi powiedział, że nie ma takiej funkcji, duchowej czy nie duchowej, nie ma takiej zewnętrznej szaty, która by mogła chronić od odpowiedzialności przed narodem wtedy, kiedy oszukuje się i zdradza ten naród. Powiem nawet więcej: jeszcze bardziej pogłębia się wina tych, którzy takiej szaty świadomie używają do przykrycia swoich brudnych zamiarów, wymierzonych przeciwko temu, co kochamy, czemu oddajemy wszystkie swe siły — przeciw Ojczyźnie.

Na pewno to co napisałem nie mierzy w tych księżach, którzy — jak cały naród — pragną pokoju i szczęścia ludzkości, ale chciałbym, żeby ten list dotarł do tych, co jeszcze nie przejrzyli na oczy i uważają za tę samą rzecz zarówno watykańskie instrukcje polityczne jak i służbę Bożą. Te instrukcje i jeszcze inne pokazał nam proces. Od wykonawców takich instrukcji będziemy oczyszczali nasze życie, aby nie wkradła się wien zdrada i zaprzaństwo“.

„ŚWIAT“

DO CZYTELNIKÓW PRASY RADZIECKIEJ

Zgłoszenia na prenumeratę

DZIENNIKÓW I CZASOPISM RADZIECKICH

przyjmują oddziały i delegatury „Ruchu“, urzędy i agencje pocztowe, listonosze oraz kolporterzy w zakładach pracy i uczelniach.

Termin zgłoszeń upływa w dniu 15.XI.1953 r.

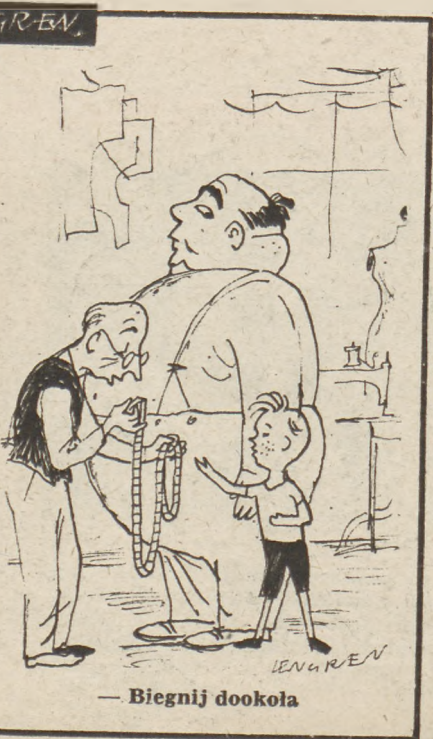
Oплата prenumeraty rocznej gwarantuje ciągłość w otrzymywaniu prasy.

ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA“

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-00-81. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Zakłady Wkłóśdrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa“ Warszawa, Okopowa 58/72.
Zam. Nr 615. Papier rotogr. V/80—82 cm. — 4-B-17900
Podpisano do druku dnia 30.IX.1953 r.



— Biegnij dookoła

SZACHY

W Szwajcarii rozgrywany jest obecnie „turniej kandydatów”, którego zwycięzca spotka się za rok z Botwinnikiem, walcząc o tytuł mistrza świata. W turnieju uczestniczy 15 najsilniejszych szachistów świata, w tym 9 radzieckich arcymistrzów. Walka w turnieju jest ciężka i wyczerpująca, gdyż każdy zawodnik rozegrać musi ze wszystkimi pozostałymi po dwie partie, a słabych przeciwników oczywiście nie ma. Zamieszczamy partie rozgrywane podczas tego turnieju.

PARTIA NR 80

Obrona Nimcowicza

Białe: P. Keres
Czarne: J. Awerbach
1. d2—d4 Sg8—f6 2. c2—c4 e7—e6 3. Sb1—c3 Gf8—b4 4. e2—e3.

Posunięcie to stosowane w swoim czasie w upodobaniu przez arcymistrza Rubinsteina wciąż ma jeszcze bardzo wielu zwolenników.

4... 0—0 5. Gf1—d3 d7—d5. Powstała pozycja, która mogła też wynikać z niektórych wariantów gambitu hetmańskiego.

6. Sg1—f3 c7—c5 7. 0—0 Sb8—c6 8. a2—a3 Gb4:c3 9. b2:c3 b7—b6 10. Sf3—e5.

Zazwyczaj grywane tu jest 10. c4:d5. Białe próbują innej kontynuacji, związanej z planem ataku na królewskim skrzydle.

10... Gc8—b7 11. f2—f4 Sc6—a5 12. c4:d5.

Grozilo 12... d:c4 13. S:c4 Hd5 i czarne zyskiwały figurę.

12... Hd8:d5 13. Hd1—e2 c5:d4 14. e3:d4 Sa5—b3 15. Wa1—b1.

Na 15. Gc4 czarne odpowiedziałyby 15. S:c1.

15... Sb3:c1 16. Wb1:c1 Wa8—c8 17. He2—b2 Hd5—d6 18. f4—f5 e6:f5 19. Gd3:f5 Wc8—c7 20. c3—c4 Wf8—d8 21. Wf1—f4?

Białe nie doceniły widocznie siły odpowiedzi przeciwnika, wskutek czego tracą pioną bez dostatecznej rekompensaty.

21... g7—g5! 22. Wf4—f2 Hd6:d4 23. Hb2:d4 Wd8:d4 24. Wc1—f1 Wd4—d6 25. h2—h4.

Białe oddają drugiego pioną, aby wzmocnić atak. Jednakże czarne znajdują wystarzającą obronę.

25... g5:h4 26. Wf2—f4 Wc7—c5 27. Se5—g4 Sf6:g4 28. Wf4:g4+ Kg8—f8 29. Gf5:h7 Gb7—a6 30. Wf1—f4 Wd6—h6 31. Gh7—d3 h4—h3 32. g2:h3 Wh6:h3 33. Wf4—d4 Ga6—c8 34. Wd4—d8+ Kf8—e7 35. Wg4—d4 Gc8—e6 36. Kgl—g2 Wc5—g5+ 37. Kg2—f2 Wg5—a5.

Czarne atakują słabości w obozie przeciwnika.

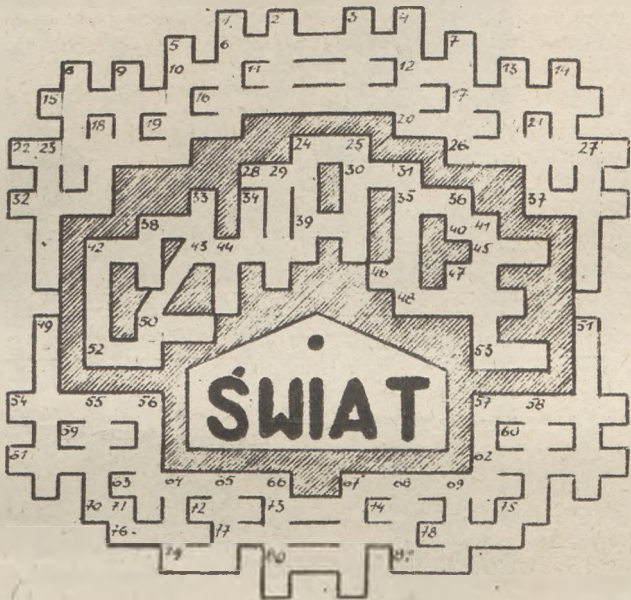
38. Wd8—b8 Wa5:a3 39. Gd3—e2 Wh3—h2+ 40. Kf2—e1 Wa3—a1+ 41. Wd4—d1 Wh2:e2 i białe poddały się, gdyż po 42. K:e2 Gg4+ 43. Ke1 W:d1+ 44. W:d1 G:d1 45. K:d1 końcówka jest kompletnie przegrana.

Kolejne posunięcie Redakcji w meczu szachowym „Świat” — Czytelnicy ukaże się ze względów technicznych za tydzień.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRYŻÓWKA

Poziomo: 6) Instrument muzyczny, 10) Ptak domowy, 11) Autor sztuki „Damy i huzaary”, 12) Okres czasu w dziejach, 15) Biała broń, 16) Wybitny poeta radziecki, 17) Niewielka fortyfikacja, szaniec, 19) Sprzęt sportowy, 20) Zjazd do kopalni, 22) Wielki poeta rosyjski, 24) Głębia obrazu, 26) Twórca opery „Sprzedana naręczona”, 28) Liczba, 30) Autor powieści „Szosa Wołokotamska”, 32) Narzędzie żniwiarzkie, 35) W mitologii greckiej: matka Zeusa, 37) Francuskie nakrycie głowy, 38) Ptak, 39) Opiata graniczna, 40) Inicjały organizacji młodzieżowej, 42) Kolonia portugalska w Indiach, 43) Tytuł gazety redagowanej przez Lennina, 45) Wioska kaukaska, 46) Nuta, 47) Inicjały poetyzolnierza odrodzonego wojska polskiego, 48) Popularny felietonista warszawski, 50) Pierwiastek chemiczny, 52) Ryba, 53) Wyrwa w ziemi po wybuchu bomby, 54) Bakteria, 57) Pieśń grana przez trębaczów z wieży, 59) Część obwodu koła, 60) Pas uprawnego pola, 61) Kierownik zaprawy lub ćwiczeń sportowych, 62) Farba ochronna, 63) Jeden z wybitnych bojowników o Polskę Ludową, 67) Twórca obrazu „Bitwa pod Grunwaldem”, 70) Symbol chemiczny srebra, 72) Rzeka we Włoszech, 73) Odkryty wagon kolejowy, 74) Tytuł noweli M. Konopnickiej.



75) Rzeka w Syberii, 76) Pozostałość na dnie lub ściankach naczyń po odciedzeniu cieczy, 77) Wybitny biolog radziecki, 78) Jednostka wagi, 79) Odlam lodu na rzece, 80) Stolica jednego z państw europejskich, 81) Spiczaste zęby.

Pionowo: 1) Tymczasowy budynek, 2) Tkanina o fałującym odbłyску, 3) Narząd czuciowy organizmu żywego, 4) Załącznik, 5) Pierwiastek chemiczny, 7) Postać z „Odrzuty wagon kolejowy”, 8) Rodzaj utworu scenicznego,

9) Element walki bokserskiej, 13) Okliwie, młode, 14) Tkanina jedwabna, 18) Część świata, 21) Rodzaj potrawy mięsnej, 23) Urojenie, mrzonka, 24) Tytuł opery Pucciniego, 25) Niewielka chmura, 27) W mitologii rzymskiej: bóg morza, 29) Góry na pograniczu Polski i CSR, 31) Autor powieści „Starek Derbent”, 33) Rzeka wpadająca do jez. Bałkasz, 34) Uczeń w średniowieczu, 36) Wybitna jednostka, 38) Las, dąbrowa, 41) Uczony francuski, który stworzył podstawy rachunku prawdopodobieństwa, 42) Autor sztuki „Rewizor”, 44) Prawy dopływ Wisły, 47) Rodzajnik francuski, 49) Poręcz, balustrada, 50) Zaimek osobowy, 51) Występ muru pod oknem, 55) Część walki bokserskiej, 56) Styl w architekturze, 57) Tytuł opery Moniuszki, 58) Imię męskie, 64) Szczątki rozbitego okrętu, 65) Zapora wodna, 66) Drzewo liśolaste, 67) Jeden z przywódców rewolucji francuskiej, 68) Powłoka ścian budynku, 69) Komisja sędziowska, 71) Gra japońska, 75) Jednostka oporu elektrycznego.

„Rom” — jedn. wojsk.)

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie

20 nagród książkowych

Na prawo — płaszcz jesienny z „flauszu” brązowego. Jest to luźny reglan z szerokim rękawem, zwężającym się przy dłoni, i małym, stojącym kołnierzykiem. Jeśli uzupełnimy go ciepłą podpinką — może służyć również jako płaszcz zimowy.

Obok widzimy prostą bluzkę z popeliny w kolorowe paski... na to: kamizelka welwetowa (w kolorze pasków bluzki) z czarnymi guzikami. Jeszcze szalik z czarnej włóczki (coraz bardziej są modne) — i oto ciepły i praktyczny komplet pod płaszcz nieprzemakalny na chłodne dni jesienne.



TANIO i ŁADNIE

Bardzo ładna suknia z lekkiego samodziela czarnego w czerwone paski. Duży kołnierz i równie duża kokarda (czarna) — wyglądają... bardzo efektownie.



W OKRESIE ZBIÓRKI ZŁOMU NA ODBUDOWĘ WARSZAWY

MATEKA: A to co znów?
DZIECI: Mamusiu, my robimy złom na odbudowę Warszawy!

KARYKATURA CHIŃSKA



rys. Ou Jang-feng
Złamiemy blokadę gospodarczą wroga...



rys. Wang Czung-tsin
Oto „prawdziwa” wolność!



Nie do nich należy zwycięstwo!

rys. Jang Lien

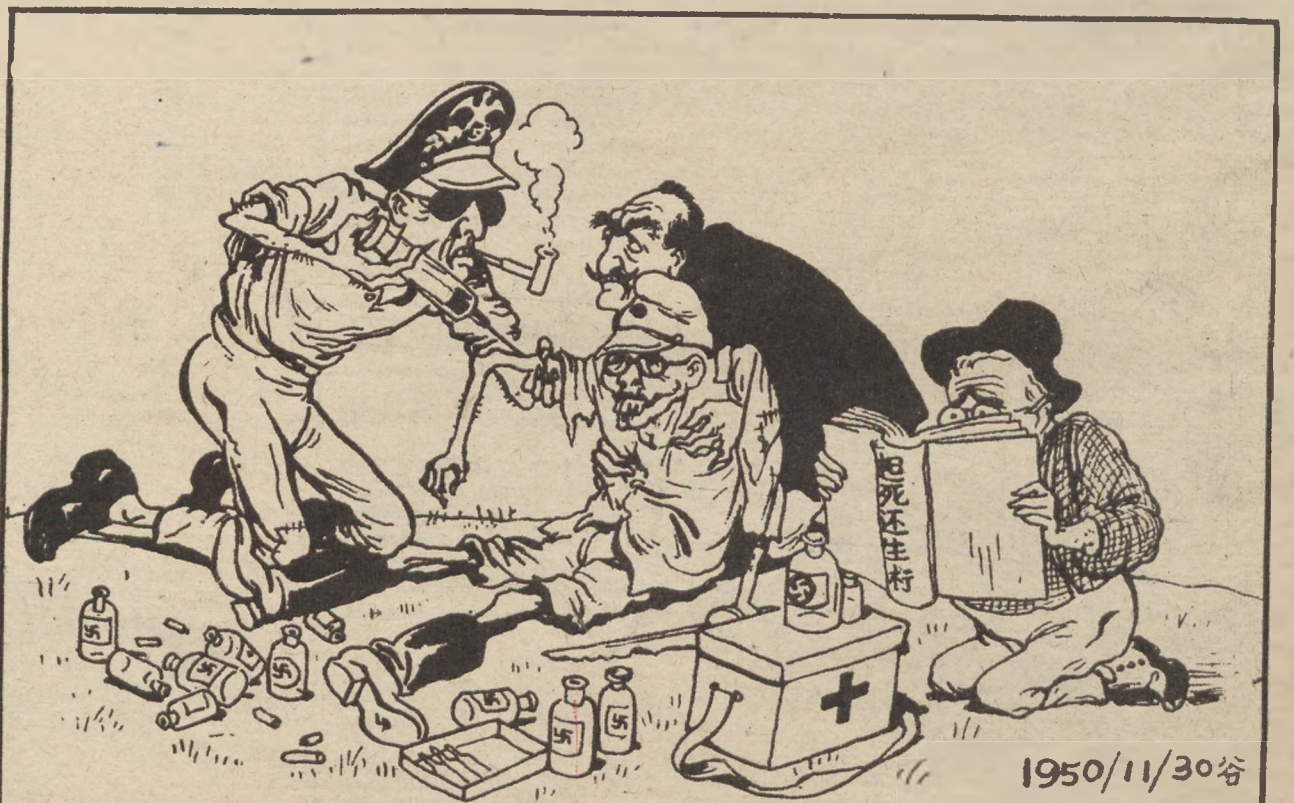


Podżegacze

rys. Dżan Lo-ping



rys. Dżu Tang
ZDEMASKOWANIE IMPERIALI-
STYCZNYCH AGENTÓW
— Dokąd teraz uciekniesz?



重新武装日本

Układ z Japonią, czyli — wskrzeszanie zmarłego.

rys. Miku

1950/11/30